POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 11-go stycznia 1941r.*** **Rok III. Nr. 2**

SŁOWA DO KRAJU I DO NAS

Przemówienie generała Władysława Sikorskiego w dzień Nowego Roku

Po raz drugi od katastrofy wrześniowej rozpoczynamy rok nowy, zdala od Kraju i zdala od swoich, dowiadując się często, że znoszą oni najokrutniejsze katusze. Mimo to Polskie Siły Zbrojne trwają wciąż mocno na posterunku wyznaczonym im przez bohaterski naród. Obok swego rzetelnego sojusznika —Wielkiej Brytanii—bronią tu i na Bliskim Wschodzie cywilizacji, o którą rozpoczęła się wojna przed szesnastu miesiącami.

W ogólnym położeniu wojskowym z ubiegłą jesienią zaszły zmiany zasadnicze. Aż do tego czasu szli Niemcy nieprzerwanie od zwycięstwa do zwycięstwa, stosując brutalną siłę lub zdradę. Aż przekroczyli szczyt swoich powodzeń.

Przegrawszy największą w dziejach świata bitwę w powietrzu, straciwszy dziesiątki tysięcy żołnierzy, załadowanych na okręty i gotujących się do inwazji, natrafili na zdecydowany i skuteczny odpór ze strony najpotężniejszego Imperium, podtrzymywanego dzisiaj wyraźnie przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Zamiast wkroczyć triumfalnie 15-go sierpnia do Londynu, zgodnie z zapowiedziami Hitlera, są codziennie skutecznie bombardowani.

Zamiast zakończyć wojnę w jesieni, muszą jej dalszy ciąg improwizować.

Ich wspólnik Mussolini, który wbrew woli włoskiego narodu rzucił się na Grecję przekonany, że zajmie ją bez wystrzału, poniósł w tym kraju dotkliwą porażkę. Pobity na głowę w Libii i straciwszy poważną część swojej floty pomimo, że unikała ona stale bitwy, znalazł się w położeniu bez wyjścia i jest dzisiaj obciążeniem, a nie pomocą dla Hitlera. Zdradził on słaby punkt państw osi, który może stać się przyczyną ich katastrofy.

Na Bałkanach odwraca się sytuacja. Zmusi to być może Rosję do rewizji jej dotychczasowej polityki. Podbite zaś na kontynencie ludy, podnoszą głowę i prostują grzbiet, oczekując co raz to niecierpliwiej na wyzwolenie, które będzie dla Niemców dniem zasłużonej i surowej kary.

Wojna będzie jeszcze długa. Oczekuje nas jeszcze niejeden wysiłek ciężki. Lecz świt już się zbliża i nadchodzi.

Chyląc więc czoła przed niezłomnością narodu, wzywam Was do dalszego wytrwania. Niechaj będą Wam otuchą słowa, które wypowiedział onegdaj po polsku do żołnierzy, mój przyjaciel i oddany naszej sprawie Minister Dalton:

"Anglicy i Polacy są twardzi. Zwyciężymy. Rozgromimy Niemców oraz ich partnerów. Niech żyje Polska nieśmiertelna."

Rozkaz noworoczny

Odpowiadając na życzenia świąteczne i noworoczne J.K.M. Król Jerzy VI raczył przesłać pod moim adresem depeszę, która kończy się następującym zwrotem:

"Proszę o przyjęcie moich najlepszych życzeń dla Pana i Jego mężnych żołnierzy, których udział cenny i determinację we wspólnej walce śledzę stale z największym zainteresowaniem. Jerzy."

To zaufanie i tak cenny dowód sympatii Króla, władającego potężnym Imperium Brytyjskim, stanowić będzie zachętę do dalszego niezłomnego wysiłku na rzecz wielkości Rzeczypospolitej.

(—) Sikorski, Gen. Broni.

Przemówienie generała Izydora Modelskiego w wigilię Nowego Roku

Rodacy,

Stoimy u wrót Nowego Roku. Potrzebą więc naszego serca i obowiązku jest przesłać Wam nie tylko słowa wiary, otuchy i pewności zwycięstwa, ale zarazem złożyć Wam w imieniu armii polskiej i jej Naczelnego Wodza, generała Władysława Sikorskiego, wyrazy najgłębszego dla Was oddania i czci.

Tak wielki jest bezmiar Waszych ofiar i cierpień, tak zaciętą i nieustępliwą Wasza obrona ideału i honoru narodowego, że więcej niż kiedykolwiek ujawnia się ta prawda, iż żadna nasza żołnierska ofiara i żaden nasz wysiłek nie da się porównać z Waszym codziennym męczeństwem, niezawinionym niczym przez żołnierza i przez cały naród. Bezprzykładne bohaterstwo żołnierza polskiego i wszystkich warstw narodu polskiego w kampanii wrześniowej potwierdzone zostało Waszą dalszą nieugiętą walką i walkami żołnierza polskiego na obczyźnie.

Armia polska we Francji i jej walki stanowią wielki kapitał, złożony w dalszym ciągu przez żołnierza polskiego we wspólnym wysiłku narodów w walce z barbarzyństwem totalizmów. Organizowanie tej armii z tych czy innych powodów nie było wcale rzeczą prostą i łatwą. Na szczęście niezłomna wola obecnego Szefa Rządu i Naczelnego Wodza usunęła wszystkie przeszkody: powstała na ziemi francuskiej wspaniała armia polska, ożywiona doskonałym duchem. Poza marynarką i lotnictwem w tragicznym boju o Francję wzięły także bezpośredni udział cztery pierwsze wielkie jednostki lądowe /1 Dywizja grenadierów, 2 Dywizja strzelców pieszych, 10 Brygada Pancerna i Samodzielna Brygada Podhalańska/.

Na morzu, w powietrzu, na skałach Norwegii i na polach Francji, dowiodła ta armia światu, że potrafi zwycięsko walczyć wówczas, kiedy załamywał się żołnierz francuski.

Wspaniałe zalety w szeregach tej armii ujawnił robotnik Polak z emigracji francuskiej, który złożył obfitą daninę krwi w obronie Polski oraz jej praw do wielkości i potęgi.

Nowa armia polska zadokumentowała swoją bezwzględną solidarność z cierpiącą Macierzą, dowiodła znowu do jakich heroicznych czynów jest zdolny żołnierz polski, kiedy ma odpowiednie dowództwo i należyte uzbrojenie. Z podziwem patrzyli na nas Francuzi, z pełnym uznaniem Anglicy, z wdzięcznością Norwegowie i, radzi nieradzi, odczuwszy na własnej skórze siłę polskiego uderzenia, przyznali wojsku polskiemu jego wartość nawet nasi wrogowie—Niemcy.

Te walki żołnierza polskiego na obczyźnie, potwierdzające bohaterstwo i poświęcenie żołnierza i narodu polskiego w kampanii wrześniowej — otworzyły nam serca dumnego społeczeństwa brytyjskiego. Niespodziewana kapitulacja Francji była dla nas strasznym ciosem. Nadludzkim jednak wysiłkiem, zdobywszy poparcie Jego Królewskiej Mości Jerzego VI i jego rządu z niezłomnym i wielkim mężem stanu—Winstonem Churchillem — na czele, przy pełnym aplauzie całej wyspy brytyjskiej przeprowadził generał Władysław Sikorski szczęśliwie ewakucję znacznych sił polskich z Francji do Anglii.

W czasie bardzo krótkim uskuteczniona została powtórnie organizacja polskich sił zbrojnych, które wysoko niosą sztandar polski na morzu, w powietrzu i na lądzie.

Polskie wojska lądowe mają powierzone poważne zadania bojowe na wyspach brytyjskich i w Egipcie. Marynarka polska i lotnictwo polskie przodują dzisiaj naszej armii w wyścigu do zwycięstwa, które idzie i niechybnie przyjdzie.

Czyż nie napełni Was otuchą, że Wasza marynarka i Wasze lotnictwo jest daleko silniejsze, aniżeli było w kraju?

Czyż nie będzie dla Was radością fakt np., że Wasi lotnicy w bohaterskich walkach powietrznych lotników Wielkiej Brytanii dali własny poważny wkład, zestrzeliwując dotąd ponad 300 aparatów niemieckich, a zatem co najmniej 10% strąconych aparatów wroga nad wyspami brytyjskimi?

Mogę Was, Rodacy, w imieniu tej armii zapewnić, że cała armia, wsłuchana w tętno Waszych serc i Waszego bólu widzi tylko Polskę i odzyskanie jej wielkiej, na zawsze szczęśliwej Niepodległości w oparciu o niewzruszalne zasady etyki chrześcijańskiej i demokracji.

Widząc, że generał Władysław Sikorski jako Naczelny Wódz i Premier, pozostaje w pełnej harmonii z Prezydentem Rzeczypospolitej, w zgodnej współpracy z Rządem Jedności Narodowej i Radą Narodową, których podstawą są cztery stronnictwa, będące wyrazem głównych kierunków opinii narodowej, a to Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe, Polska Partia Socjalistyczna i Stronnictwo Pracy — jesteśmy pewni, że armia, której przewodzi, wypełni do ostatka swój wielki obowiązek i wraz ze społeczeństwem odbuduje Rzeczpospolitą, szczęśliwą i mocną, opartą na wolności swoich obywateli.

Z jakimż podziwem i szacunkiem patrzymy na wielki, świadomy i potężny wysiłek całego narodu brytyjskiego, wykuwającego konsekwentnie zwycięskie jutro! Z jakąż pewnością, widząc bezgraniczną ofiarność, pogardę śmierci, żelazną wolę i pogodę ducha tego narodu, patrzymy także w nasze jutro, związane naszym rzetelnym wkładem z jutrem Wielkiego Imperium!

Dla Ciebie Polsko!

Świat, ku któremu idziemy

PROROCY I PRAWDA

Dobiega kresu drugi rok wojny. Prorocy polityczni obliczają, jak długo trwać będą jeszcze zapasy wojenne, jaki będzie przebieg następnych faz i okresów wojskowych i dyplomatycznych zmagań. Jedni wychodzą z założenia, że ponieważ cały sposób naszego życia, jego tempo i krok uległy przyśpieszeniu, ponieważ w konflikcie obecnym co raz większą rolę gra mechanizacja,—zatem i wojna nie może trwać tak długo, jak wojna światowa. Drudzy dowodzą, że ponieważ jest to nie zwykłe starcie imperializmów i narodów, ale walka dwóch systemów i światów—musi trwać ona dłużej, wyniszczyć dokładniej i sięgnąć głębiej, aniżeli wojna światowa.

Nie wiemy, gdzie leży prawda. Trwania tej wojny przewidzieć nie sposób ze względu na to, że jest to tak nowy rodzaj wojny, że biegnie ona tak odmiennymi torami, niż dotychczasowe zmagania zbrojne i że tak wiele czynników wiąże się w niej i przeplata: czynniki społeczne, ideowe, gospodarcze, gra dyplomacji, podstęp i zdrada, niespodzianka i zaskoczenie, propaganda. To jest jednak jasne, że wygranie tej wojny będzie trudem nielada, że sam sposób jej wygrania nie zarysowuje się jeszcze dosyć jasno i że ciężary jakie spadną na świat powojenny będą olbrzymie.

ANGLIA W ATAKU

W. Brytania, która została w czerwcu twarzą w twarz i sam na sam z Rzeszą niemiecką i Włochami, w sytuacji najbardziej ryzykownej, jaką znają dzieje nowoczesnej Anglii, przyszła do siebie. Uderzenie niemieckie w połowie sierpnia i we wrześniu obliczone było na złamanie tzw. morale W. Brytanii, wywołanie zamętu, stworzenie popłochu wśród ludności cywilnej, a może nawet wywołanie jakichś odruchów przeciw wojnie i rządowi /dlatego chyba bombardowano tak uporczywie nędzę *East End'u*/. Anglia zniosła te ciosy po bohatersku: zalana krwią, uskakując i chwytając oddech między "*upper cut'ami*" i "*swingami*" przeciwnika, przeszła przez rundy starcia. Nie było to łatwe. *RAF* dokonywała cudów, ludność cywilna wykazała najwyższą odporność i hart, godny twardej rasy angielskiej.

Anglia nie poszła na deski. Furia niemiecka zesłabła, przygotowania do inwazji zostały odłożone, atak niemiecki przeszedł na inny szlak: na drogę morską, na arterie, które wiążą W. Brytanię ze Stanami Zjd. Niemieckie łodzie podwodne wyszły z ukrycia, bazy francuskie posłużyły im za odskocznie, tonnaż angielski począł wykazywać znaczne straty. Rzesza niemiecka uparła się, że przeprowadzi swoją kontrblokadę, że zadławi handel angielski, dowóz żywności, dowóz sprzętu wojennego z Ameryki, że dobierze się do najczulszych punktów Imperium—dróg morskich.

W tym momencie Włochy wyrywają się z najazdem na Grecję. Grecy nie dają się zastraszyć, wojska włoskie ustępują co raz bardziej. Anglia wykorzystuje załamanie się włoskie w Albanii i przechodzi do akcji w Egipcie, gdzie Graziani czekał zbyt długo. Wojska angielskie posuwają się w Libię.

Jest to moment nader ważny w tej wojnie, albowiem Anglia znalazła się w ataku na morzu, na lądzie i w powietrzu po raz pierwszy.

CO DALEJ?

Rzesza zachowuje milczenie, które nie wróży nic dobrego. Przypuszczać trzeba, że nie zgodzi się na to, ażeby Włochy popadły w zupełne rozbicie. Berlin wspomoże Rzym; akcja niemiecka może przybrać formy rozmaite: przemarszu przez Francję ku Włochom, uderzenia lotniczego z baz rumuńskich i węgierskich, przejścia przez Bułgarię. Wydaje się jednak, że Rzesza niebawem już wyjdzie ze stanu wyczekiwania i ważenia decyzji.

Sądzić także wolno, że ku wiośnie odżyje myśl o inwazji. Przypomnijmy sobie, że rok temu istniały obawy, że Holandia i Belgia staną się ofiarą ataku Rzeszy. Właściwe uderzenie niemieckie przyszło dopiero na wiosnę, gdy Rzesza miała w ręku wszystkie elementy. Pamiętajmy, że maszyna niemiecka nie działa improwizacją i że Hitler nie jest bynajmniej takim ryzykantem, za którego go wiele osób uważa i za którego on sam chce uchodzić. Oblicza on niezmiernie dokładnie, co więcej przesadza w przygotowaniach, zbiera większe siły, aniżeli te, któreby mu zapewniły sukces; oszczędza sobie wysiłku tam gdzie może, przy użyciu gry dyplomatycznej, zabiegów polityki, zastraszania.

Skoro Anglia nie poszła na deski w jesieni—to maszyna niemiecka wytęży wszelkie swoje siły, ażeby na wiosnę osiągnąć swoje cele. Należy spodziewać się zatem olbrzymiego wysiłku. Wiosna oglądać powinna starcia groźne.

MARNA I OFENSYWA LUDENDORFFA

Są obserwatorzy, którzy przyrównują niepowodzenie w sierpniu—wrześniu w ataku Rzeszy na Anglię do bitwy nad Marną i przepowiadają, że uderzenie wiosenne będzie czymś w guście ofensywy Ludendorffa z wiosny 1918, po której to ofensywie maszyna niemiecka legła wyczerpana i rozbita. Nie wiemy, czy można w ten sposób zestawiać zdarzenia wczoraj i dzisiaj. Wydaje się jednak, że jeżeli Rzeszę spotka klęska przy uderzeniu na największą skalę na W. Brytanię—a takie tylko uderzenie ma szanse i na takie uderzenie Rzesza zechce się "wysadzić"—to wówczas wojna wchodzi w stadium dla Niemiec niewątpliwie niepożądane. Zabranie się do trzeciego uderzenia—to zadanie, na które może nie stać już sił, zapasów, ochoty. Może raczej, w szukaniu sukcesów zastępczych, Rzesza obróci się na Wschód i pójdzie albo przeciwko Rosji albo szlakiem bagdadzkim.

Anglia wię, że najbliższe miesiące oznaczają okres najwyższego napięcia i że trzeba zrobić wszystko, aby pomnożyć własne siły. Produkcja samolotów ma osiągnąć poziom 3,000 maszyn miesięcznie, Stany Zjd. dostarczą jednakże owych 30,000 samolotów dopiero na wiosnę 1942. Trzeba będzie zatem w r. 1941 poprzestać na obronie i na uderzaniu stałym, ale jeszcze nie na wielką skalę na Rzeszę. Ofensywa powietrzna może dopiero przyjść w r. 1942.

Ameryka rozumie, iż szybkość i pośpiech są ważne, niezmiernie ważne. Dlatego prezydent Roosevelt postanawia odrzucić "banalne i utarte metody" i otworzyć dla Anglii nowego rodzaju kredyt. Decyzja ta posiada doniosłe znaczenie. Teraz cała sprawa zawisła na tym, ażeby produkcja amerykańska weszła w krok, ażeby zapęd został przyśpieszony. Chodzi także o to, ażeby szlaki morskie były bezpieczne o tyle, by sprzęt amerykański nie szedł na dno morskie. Niemieckie *U-Booty* polują właśnie na statki ładowane sprzętem; na nie polują także bombowce nurkujące.

NOWA WIZJA

Anglia rozumie, że czekają ją chwile ciężkie.

Na pierwszym planie jest wytrzymanie, przetrwanie, pozwolenie przeciwnikowi, aby wyczerpywał swoje siły. Skoro nie można przeciwnika rozłożyć siłą, trzeba stosować taktykę cierpliwości.

Anglia wie już teraz, że całe myślenie wojenne musi przejść przemianę, że plany z przed wojny nie na wiele się przydadzą i że podobnie sposoby i rozumowania, jakie były w obiegu przed rokiem jeszcze—nie są już dzisiaj aktualne. Na kontynencie obudzą się powoli nowe siły, wejdą grę nowe czynniki. Mogą pojawić się niespodziewane zmiany, sytuacje, na które trzeba będzie znaleść ripostę i odparowanie. Gdy uprzytomnimy sobie jak olbrzymie i złożone są te zadania—zrozumiemy dopiero jak nadludzki musi być nasz wysiłek na każdym polu.

TWARZĄ KU PRZYSZŁOŚCI

Im mniej będziemy ulegać urzeczeniu przeszłości, im mniej będziemy powoływać się na wzory poprzednie, tym lepiej dla pracy wyobraźni. Potrzeba tej wyobraźni—jak to już nieraz podkreślaliśmy na tych łamach—w większej ilości, aniżeli w innych wojnach: wojna obecna jest wojną poniekąd dziką, naprzełaj utartym wzorom, wojną raczej wschodnią w typie, aniżeli zachodnią /logika wojny pozycyjnej, logika klasycznego manewru/. Przetacza się ona nie przez okopy i nie przez linie frontu, ale jak chce, kreśli swoje znaki poprzez miasta i wsie, wdziera się pod ziemię i poraża życie przeciętnego, szarego człowieka. Jest to wojna, która musi z natury niejako rzeczy wydobywać niespodzianki, która raz zmienia się, jak film i gna na złamanie karku, to znowu zatrzymuje się w niesamowitych pauzach i przerwach, bardziej niekiedy wyczerpujących, aniżeli chwila akcji i starcia.

Jest to wojna, gdzie nowe energie muszą przyjść bardziej do głosu, aniżeli w wojnie poprzedniej. Lotnictwo, broń tej wojny, to dziedzina młodości. Zmiany, jakie przeprowadza Anglia na stanowiskach w armii idą wyraźnie ku jej odmłodzeniu: przed rokiem chwalono się jeszcze w Anglii, że posiada ona więcej oficerów z wojny ubiegłej—wraz z Francją—aniżeli Trzecia Rzesza. Dzisiaj i Anglia rozumie, iż tej nowej wojnie trzeba dać świeże mózgi.

Ale są i inne znaki, które mówią, że demokracje zaczynają rozumować innymi sposobami i że czynią chwalebny wysiłek wyjścia naprzeciw żywiołom wypadków. Do tego rzędu należy właśnie powiedzenie Roosevelta "o banalnych sposobach myślenia gospodarczego." Budzą się co raz to nowe myśli, które starają się porzucić dawne koleiny. Zaczyna się rozumieć, iż Europie powojennej trzeba będzie dać nie tylko zapewnienia i gwarancje pomyślności materialnej, nie tylko otworzyć zasoby kolonialne lepiej, mądrzej, sprawiedliwiej, ale także rzucić hasła, przemówić do energii ludzkiej inaczej, mocniej, aniżeli się to czyniło dawniej.

Jedną z najbardziej znamiennych i tajemniczych cech natury człowieka jest chęć odmiany, chęć odnowienia się, pragnienie stworzenia sobie nowego życia. Jest to pragnienie wielkie i tragiczne zarazem: nie zawsze liczy się ono z warunkami, nie zawsze liczy się z tym, co jest przeszkodą, kulą u nogi, z tym, co wiąże i ciągnie na dół, co opóźnia i uniemożliwia. Ale wola ludzka nie chce się pogodzić z tymi skrępowaniami, nie może się zgodzić na fatalizm. Walczy ona, burzy się i buntuje.

Podobnie i my teraz, na samym dnie wojennego mroku, w obliczu jeszcze groźniejszych prób, które nie uszanują niczyjej wrażliwości—chcemy i *musimy* wierzyć, że jednak idziemy ku nowemu światu, że w rękach naszych leży moc tworzenia rzeczy stalszych, aniżeli te, co powstały po wojnie ostatniej i że trzeba będzie wydać wojnę wszelakiemu myślowemu lenistwu, kultowi laurów i odpoczynku. Musimy wierzyć, że uda się uratować z płonących domów, to co uratowania jest warte, że trzeba będzie przełknąć niejedną gorzką pigułkę, przyjąć niejedną gorzką naukę, po to, aby wyjść na jaśniejszy gościniec doli powszechnej.

NASZA I WASZA DOLA

Jako Polacy zrozumieć musimy, że przy budowie zrębów nowej Polski należy nam myśleć w sposób jednocześnie skromny i wielki. Skromny, a zatem unikać wszelakich przechwałek, przesady, fanfaronady, pogardy niewczesnej. Wielki—albowiem będziemy musieli sprzęgnąć się z innymi narodami, aby zabezpieczyć byt Polski. Musimy już teraz ustalić, jak najlepiej zbudować ów wał przeciwko grozie niemieckiej, licząc na to, że za lat 25 czy 30 może się ona odrodzić? Wał ten musi liczyć także 80 milionów ludności, musi być wsparty na zdrowych gospodarczych podwalinach, musi być prężny, pełen rozmachu.

W tej myśli winniśmy kształcić się, korzystać z wszystkich rzeczy, jakie nas na wyganiu otaczają, uczyć się. Odrzućmy niepotrzebne spory, partyjnictwo, na które nie ma dzisiaj czasu ani pokrycia. Nie są ważne te spory,—ważna jest sprawa, ważna jest przyszłość, ważne jest nasze najlepsze przygotowanie.

Świat, do którego wrócimy, a raczej który zdobędziemy—będzie inny, wymagający najwyższego napięcia nerwów, woli, myśli. Musimy zrobić wszystko, aby otamować nasze sentymentalne skłonności, ażeby nie dać się unosić uczuciom, które nie przynoszą niczego, ażeby myślenie nasze wyostrzone było na dzień, który nadejdzie.

Takie jest zadanie ludzi młodych, a więc Was, żołnierzy. Pamiętajmy, że armia młodych, co wyjdą z tej wojny, będzie ważniejsza w polu walki o pokój i nowy świat, aniżeli dzisiaj, kiedy wojna nie daje pola popisu wszystkim armiom, kiedy są długie miesiące czekania. Trzeba już dzisiaj poczuć się żołnierzem tej armii jutra, aby spełnić swoją rolę, gdy zawoła historia.

Londyn, 20 grudnia 1940.

Zbigniew Grabowski

Wznowienie Wyższej Szkoły Wojennej

W dniu 2 stycznia, w gmachu Sztabu Naczelnego Wodza odbyła się uroczystość wznowienia Wyższej Szkoły Wojennej.

Działalność najwyższej polskiej uczelni wojskowej przerwała wojna. Komendant jej, generał Tadeusz Kutrzeba objął dowództwo armii "Poznań," z korpusu wykładowców sformowano jej sztab. Armia "Poznań" w bohaterskich walkach, które przeszły do historii pod nazwą bitwy pod Kutnem, pięknie wykonała swój żołnierski obowiązek. Dowódca jej, wraz ze swym sztabem, położyli zasługi, których Naród Polski nigdy nie zapomni.

Wielu wykładowców dawnej szkoły padło na polu chwały, wielu jest w niewoli, ale część ocalała i ona to właśnie pracowała nad odbudową Wojska Polskiego we Francji, a po ponownej katastrofie pracuje nad organizacją Polskich Sił Zbrojnych na gościnnej ziemi Wielkiej Brytanii.

W dniu 2. stycznia wznowiono tę *alma mater* polskiej myśli wojskowej. Praca nowej szkoły, będącej właściwie wskrzeszeniem dawnej, gdyż większość jej personelu stanowią dawni wykładowcy, zasileni tylko dopływem młodszych sił, jest pracą na przyszłość. W chwili obecnej oficerów z wyższym wykształceniem wojskowym nie brak, ale brak ich będzie dotkliwy w chwili, gdy trzeba będzie przystąpić do ponownej budowy wojska na ziemi polskiej. Tylu z nich padło. Tylu na skutek ran straciło zdolność do czynnej służby wojennej. A pracy będzie dużo, bardzo dużo.

Otwarcia kursu dokonał osobiście Wódz Naczelny. Towarzyszył Mu Szef Sztabu Armii Czechosłowackiej, generał Jerosław Znamenacek, gdyż na kursie są też oficerowie czescy, przedstawiciele bratniego wojska. Poza tym był obecny Szef Sztabu Naczelnego Wodza i szereg wyższych oficerów polskich i czeskich.

Naczelny Wódz wygłosił do zebranych oficerów dłuższe przemówienie, które podamy w najbliższym numerze "Polski Walczącej."

Życzenia od Polonii zamorskiej

New York, 28 listopada 1940 r.

Drogi Bracie Polaku,

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia przesyłamy Ci i wszystkim Twoim bohaterskim Kolegom nasze najserdeczniejsze życzenia jak najlepszego zdrowia i otuchy do przetrwania tych bardzo dla Was ciężkich chwil i aby w prędkim czasie Bóg Najwyższy dopomógł Wam zwyciężyć bestialskiego wroga i wrócić do ukochanej Ojczyzny Polski.

Mamy nadzieję, że tych kilka życzliwych słów jak też i skromny nasz upominek (jeden funt angielski), przeznaczony dla Ciebie, dojdą rąk Twoich w czas na Gwiazdkę.

Serdecznie Cię pozdrawiamy i radzi bylibyśmy otrzymać od Ciebie jakąkolwiek wiadomość.

Cześć Wam Polscy Lotnicy. Dumni jesteśmy z Was. Wytrzymajcie aż do ostatniego zwycięstwa.

Czołem

(—)Karol i Helena Leszczyńscy,
318, *E.* 52*nd St., New York, N.Y., U.S.A.*

* * *

Convent Station, N.J.,
25 *listopada* 1940*r.*

Dla Drogich Obrońców Ojczyzny.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia śpieszymy i my Drodzy Bracia podzielić się z Wami opłatkiem i złożyć Życzenia, Wesołych Świąt, zdrowia, szczęścia w Waszych przedsięwzięciach, oraz szczęśliwego Nowego Roku 1941. *Wolności dla Kochanej Polski, powrotu do swych najdroższych i wszystkiego tego czego sami sobie życzycie. Zawsze, a szczególnie w dniu tak uroczystym serca nasze zawsze będą z Wami. Modlimy się do Boga za Was, abyście mogli odwalić i oczyścić drogę do Swego własnego Domu. Przyjmijcie od nas choć tak małe, lecz szczere upominki Gwiazdkowe.*

Z serdecznym pozdrowieniem dla wszystkich Drogich Polaków, których los wygnał z Ojczyzny. Kreślimy się.

Polki z Ameryki

* * *

Wielm. Wydawnictwo "Polska Walcząca — Żołnierz Polski na Obczyźnie," 23, *Beaumont Street, London, W.*1, *z głębi serc naszych winszując owocnej pracy i z życzeniami (jak na stronie odwrotnej), mamy zaszczyt kreślić się Im Wszystkim całym sercem oddani, pokorni słudzy.*

Z. W. Romaszkiewicz,
President of The Polish National Alliance Group, "Kolonia Polska," Dom Polski, Morningside, Brisbane, Queensland, Australia.
11/11/40.

* * *

Fosston 26 *listopada* 1940 *r.*

Do P.T. Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 55, *Princess Gate, London, S.W.*7.

Do tego skromnego daru w sumie $20.00 *na Fundusz Gwiazdkowy dla Żołnierzy Polskich na Obczyźnie łączymy nasze najserdeczniejsze życzenia Wesołych Świąt oraz obfitego błogosławieństwa Bożego w Nowym Roku dla Szan. Zarządu Światowego Związku Polaków z Zagranicy oraz dla wszystkich dzielnych junaków naszej Ukochanej Armii Polskiej na Obczyźnie.*

Oby ta Gwiazdka Betlejemska, Symbol Najszczytniejszych ideałów, była nam wszystkim w tej godzinie Męczeństwa Narodu Symbolem Zwycięstwa i Ziszczenia Najgorętszej Nadziei, i by krzepiąc dziś naszą Wiarę i Męstwo, opromieniła kiedyś Radość Wolnego Narodu i Niepodległej Ojczyzny.

Od Członków Towarzystwa Św. Piotra i Pawła w Fosston, Sask. Kanada.

za Zarząd Stefan Florczak
(—) Sekretarz.

* * *

29 *listopada* 1940 *r.*

Drogi Żołnierzu Polski,

Życzę pokoju i wszelkiego dobra w dzień Bożego Narodzenia i w Nowym Roku. Dzielę się opłatkiem jak Matka ze synem, i przyjm ten skromny podarek na tę smutną Gwiazdkę dla Was Żołnierze, jak również dla całego Narodu Polskiego.

Jeżeli możebne proszę odpisać. Zasyłam serdeczne pozdrowienia.

(—) Marja Ząbkowska,
1363, *E.* 91 *Street, Cleveland, Ohio.*

Czy Stalin zyskał czy stracił?

Minął już przeszło rok od czasu współdziałania Rosji sowieckiej i Niemiec hitlerowskich, a przez ten czas tylekrotnie rozważaliśmy czym był ów pakt dla tylu państw i narodów Europy środkowo-wschodniej, że warto rozważyć jego wartość także i z zupełnie innego punktu widzenia; z tego mianowicie, *czy Stalin osiągnął tym paktem większe korzyści, niż straty, czy też przeciwnie, wbrew temu co się powszechnie sądzi, poniósł straty daleko poważniejsze niż korzyści?*

ZYSKI TERYTORIALNE I STRATEGICZNE

Na pierwszy rzut oka można by istotnie sądzić, że rację mają ci wszyscy przyjaciele Rosji sowieckiej, którym wspólny marsz wojsk czerwonych z wojskami brunatnymi dla tworzenia "nowego ładu" w Europie nie przyniósł żadnego rozczarowania. Ludzie ci, wiary nie tyle głębokiej co ślepej, powiedzą nam że Rosja zaokrągliła swe granice bardzo znacznie: Na północy *rozbroiła strategicznie Finlandię,* ogołociła ją z jej linii obronnej, uniemożliwiając opór na przyszłość. Niżej, nad Bałtykiem, zagarniając Litwę, Łotwę Estonię, wróciła do dziedzictwa Piotra Wielkiego i księżniczki niemieckiej, Katarzyny II-giej.

Jeśli chodzi o ziemie polskie, to *zagarnęła znacznie więcej, niż Niemcy,* w tym zaś, obok terenów rdzennie polskich, lub ze znaczną ilością Polaków, ziemie częściowo białoruskie czy ukraińskie, gdzie pewne podobieństwo kultur i języka ułatwia asymilację sowiecką. Ze Lwowem, który nigdy do Rosji nie należał, wpadło w ręce rosyjskie poważne centrum kulturalne i polityczne ruchu ukraińskiego. Deportacje, rozstrzeliwanie, uwięzienie tysięcy Ukraińcow, którzy za rządów polskich pozostawali na wolności, wydawali pisma różnych kierunków politycznych, mieli szkoły, partie, kooperatywy, są dowodem, że Rosja wykorzystała zagarnięcie Lwowa, aby zniszczyć ruch, który dla jej jednolitości może być ogromnie niebezpieczny. Rosja czyni wszystko, aby Niemcy nie mogli w przyszłości mieć ruchu ukraińskiego w swym ręku.

Wreszcie, *ostatnie nabytki rumuńskie,* powrót do dawnej granicy z 1914 roku, ba, usadowienie się w ujściu Dunaju, zdawałyby się wskazywać, że istotnie rok współpracy sowiecko-niemieckiej był rokiem, w którym ZSSR święcił wspaniałe triumfy, Stalin okazał geniusz wielkiego władcy, a Hitler krótkowzroczność, która niechybnie przyprawi go o zgubę.

KOMPROMITACJA MORALNA

Otóż co do tego wszystkiego pozwolimy sobie być zupełnie innego zdania.

Przede wszystkim dlatego że, zdaniem naszym, od czasu gdy na politykę państw uzyskują w ten czy inny sposób poważny wpływ *masy,* ich uczuciowością i odruchowością, każdy *cynizm* w polityce jest działaniem na krótką metę. Jest bardzo wielu obrońców, być może nawet po prostu ślepych, a nie tylko interesownych, którzy usiłują tłumaczyć w mniej lub bardziej niezgrabny sposób napaść Stalina na Polskę, ale mimo całej ich wymowy pozostanie zawsze po tej napaści pewien osad głębokiego niesmaku. Można zużyć imponujące zapasy wymowy i nie wiedzieć jak interpretować Marksa, a jednak współdziałanie *czerwonej* armii z armią *brunatnych koszul* nie wywoła w nikim szacunku. Bohaterska Finlandia z dni swej obrony była państwem, przed którym wszyscy chylili czoła; jej napastnik, cokolwiek by o nim powiedział pan H. G. Wells, "dobrej prasy" nie miał. Niedawno Stany Zjednoczone nie uznały zaboru państw bałtyckich, i dały tem *wyraz dosadny* temu, co myśli przeciętny człowiek Zachodu o owym "dobrowolnym" przyłączeniu się.

W wieloletnim procesie topnienia rewolucyjnego prestige'u pierwszych lat rewolucji, po wygnaniu Trockiego, po hekatombach czystek, po dyktaturze równie służalczej i panegirycznej co inne, a może znacznie więcej, przybył nowy etap kompromitacji. Ten *marsz wspólny Sierpa i Młota ze Swastyką,* to *moralnie była kompromitacja.* Oczywiście, można z moralności kpić, ale moralność może się jeszcze okazać siłą, i kiedyś najzręczniejsi alianci Stalina w prasie zagranicznej nie potrafią przywrócić mu sympatii ludowej.

Ci jednak, co machają ręką na te sprawy i są zdania, że zręczna kampania prasowa—Sowiety są w niej mistrzami—potrafi i to kiedyś odrobić, powinni by dostrzec jednak na mapie, że sytuacja Sowietów nie uległa samym tylko ulepszeniom. Może jeszcze przyjdzie pożałować starych, niedobrych czasów, kiedy to sąsiadami ZSRR były państwa małe i słabe, albo takie, jak Polska, która po kilkakroć odrzucała niemieckie propozycje pochodu na Wschód.

ODSŁONIĘCIE GRANICY

Od ujść Niemna po ujścia Dunaju, na froncie szerokości 3,000 kilometrów ma dziś Rosja jednego tylko sąsiada—Niemcy hitlerowskie. Na Bałtyku jest dziś tylko jedna potężna flota, znacznie przerastającą stare eskadry sowieckie, wsparta jeszcze szwedzką —i jest to *znowu* flota niemiecka. Otóż nie wiem, czy to sąsiedztwo nie stanie się niewygodne i niemiłe. Oczywiście, jeśli się wierzy w trwałość przyrzeczeń Hitlera. Albo we własną siłę. Wtedy to co innego. Ale czy można wierzyć w trwałość słów Hitlera? Albo w siłę Sowietów?

OBNAŻENIE WŁASNEJ SŁABOŚCI

Co do tej własnej siły, to znowu *ostatni rok nie dowiódł jej tak znakomicie.* Opór słabej Finlandii przeciwko olbrzymim armiom ZSRR dał dużo do myślenia. Widok wojsk sowieckich obdartych, niedożywionych, biednych, zdumionych "bogactwem" najbiedniejszych stron Polski, uważających witryny sklepowe w Równem, Stryju czy Wołkowysku za pokazy propagandy, odsłonił naszym oczom *ogromy rosyjskiego zbiednienia.* Armia czerwona mogłaby raczej wywoływać u jej zatwardziałych, lecz trzeźwych sympatyków uczucia zbliżone do . . . *litości.* Lotnictwo i czołgi to bardzo ważne, ale to nie wszystko. Zła organizacja, wady produkcji, fatalna komunikacja, a wreszcie niepewność, na jaką jest narażona zawsze każda dyktatura, muszą robić swoje.

"WOLNE RĘCE" NIEMIEC PO KLĘSCE FRANCJI

Jednak, jeśli kiedykolwiek mógł Stalin jeszcze żywić pewne wątpliwości co do wspaniałych korzyści jakie mu daje współdziałanie z Hitlerem, to w dniu klęski Francji musiał przejrzeć cokolwiek jaśniej.

Nie nadarmo pisma sowieckie rozpisywały się wówczas tyle o ogromie strat francuskich; nie nadarmo przedstawiały swemu czytelnikowi, że wprawdzie armia francuska została pobita, ale armia niemiecka została tak nadwątlona, że musi lizać swe rany i lizać je będzie dość długo.

Nie dziwimy się wcale temu że tak właśnie chciała prasa Stalina przedstawić stan rzeczy na Zachodzie społeczeństwu sowieckiemu; przeciwnie, rozumiemy ją dobrze. Chodziło o to *aby społeczeństwo sowieckie nie zorientowało się w tym najważniejszym, co dokonało się na kontynencie przez upadek Paryża i zawieszenie broni.* Chodziło o to, aby sobie nie powiedziało, że oto nie ma już w Europie innej armii, niż armia niemiecka. I że armia niemiecka ma odtąd wolne ręce.

Wolne ręce. Nie miały ich Niemcy w latach 1914-1918! Z nad Marny, w pełnym toku ofensywy jesiennej 1914 na Paryż, musiały wycofywać całe dywizje, aby bronić kolebkę nowożytnych Niemiec—Prusy Wschodnie, przed rajdami kozaków Samsonowa. I nie weszli wtedy do Paryża. Latem 1918 roku, dwie armie niemieckie musiały stać za Dnieprem —pilnować bezczynnie żniw ukraińskich. I ententa przełamała front we Flandrii.

W "Mein Kampfie" Hitler woła że nie można "walczyć na dwa fronty," i od września 1939 udaje mu się istotnie walczyć zawsze na jednym tylko froncie; polskim najpierw, francuskim potem. Oba są złamane. Pozostaje zawsze Wielka Brytania. Ale Wielką Brytanię można brać od morza, czy od powietrza, nie od lądu. I oto *olbrzymia armia niemiecka, zmotoryzowana, opancerzona, jest obecnie tak unieruchomiona jak za tamtej wojny była unieruchomiona niemiecka flota.* Są to siły, które Hitler zawsze może ruszyć, i nawet musi ruszyć, bo bezczynność jest dla każdej armii zawsze początkiem rozkładu. Ale może to ruszyć tylko na lądzie.

BILANS ROKU I PERSPEKTYWY

Bilans roku polityki rosyjsko-niemieckiej nie przedstawia się więc imponująco.

Znikła zupełnie *bariera państw neutralnych,* jaka oddzielała Rosję od Niemiec. Znikła w ten sposób, że co było najcenniejsze, najlepiej zagospodarowane, wzięły Niemcy. Rosja dostała przestrzeń. Jak gdyby Rosja cierpiała na brak przestrzeni!

Znikła wreszcie *jedyna przeciwwaga Niemiec w Europie;* Francja i armia francuska. Być może, że Francja była "zmurszała," być może, że jej armia nie stała na wysokości swych tradycyj, być może, że linia Maginota okazała się złudzeniem; dopuśćmy takie rozumowanie! Ale jednak ta Francja i ta armia były, a teraz ich *nie ma.* Jeśli lubimy porównywać sukcesy Stalina z Piotrem Wielkim i Katarzyną Drugą, to powiedzmy także i to, że nawet car tak ograniczony umysłowo jak Aleksander III-i, bronił Trzeciej Republiki wobec roszczeń Bismarcka. I słusznie. Słaby sojusznik jest lepszy od braku sojusznika.

Dziś nikt i nic nie przeszkodzi Hitlerowi ruszyć w głąb Rosji. Nie obawa desantu brytyjskiego na kontynencie; na to jeszcze za wcześnie. Nie brak floty; flota w operacjach przeciw Rosji będzie miała dziesięciorzędne znaczenie. Może brak lotnictwa, obawa przed rozdwojeniem sił lotniczych. Trudno bombardować jednocześnie Londyn i Moskwę. To, owszem. Poza tym nic. Poza tym tylko zima rosyjska, u której progu stoimy, no i rosyjska przestrzeń. Ale rosyjska zima ma swój koniec, a rosyjska przestrzeń nie jest tym czym była za czasów Napoleona, kiedy grenadierzy cesarscy przemierzali ją w czterdziesto-kilometrowych marszach dziennych. Czołgi szybciej jadą. To także należy włączyć do rozważań sowiecko-niemieckich.

Nie. Trzeba być bardzo krótkowzrocznym, żeby po roku współdziałania sowiecko-niemieckiego nie dostrzec, że Sowiety zostały tu wyprowadzone w pole, skompromitowane moralnie, oszukane politycznie, osłabione strategicznie. Trzeba nie znać Hitlera i Niemiec, aby nie widzieć, że nieubłaganie zbliża się chwila ich sporu z Rosją. Będzie to chwila niezwykle ciężka dla Rosji, chwila straszliwego jej rozgromu. I dobrze zasłużonej *kary.*

Ksawery Pruszyński

Niemiecki głód nafty

Pomimo wszystkich zdobyczy, osiągniętych na kontynencie europejskim, nafta pozostaje nadal słabym punktem niemieckiej machiny wojennej. Sprawa zaopatrzenia w naftę jest ciągle nierozwiązana, a staje się co raz bardziej paląca.

Zapasy, zebrane przez Niemcy przed wojną a częściowo zdobyte na Zachodzie w czasie wojny, wyczerpują się w szybkim tempie. Z drugiej strony zapotrzebowanie nafty przez objęcie przemysłu w krajach okupowanych ogromnie wzrosło. Przybyły również Włochy, które poprzednio konsumowały poważne ilości nafty amerykańskiej i irańskiej. Dodajmy, iż produkcja rumuńska, która już od lat wykazuje zastój a raczej wyraźne cofanie się, obecnie doznała poważnego wstrząsu, niemal w dosłownym znaczeniu a otrzymamy w całości ponury obraz niemieckiej gospodarki naftowej.

W obrazie tym nie uwzględniliśmy jeszcze ważnego, nowego czynnika, który zaczyna odgrywać co raz potężniejszą rolę w niemieckiej blokadzie naftowej. Oto noc w noc R.A.F. dokonuje nalotów na niemieckie zbiorniki nafty, rafinerie i fabryki syntetycznej benzyny, (zwłaszcza w Leuna). Jest to najbardziej umiłowany cel nalotów brytyjskiego lotnictwa. Niszczenie zapasów odbywa się systematycznie i celowo, aby w ten sposób dotknąć wroga w jego najsłabszym punkcie.

Przyglądnijmy się bliżej niemieckiemu bilansowi naftowemu zarówno po stronie czynnej jak i biernej. Jakie jest minimalne zapotrzebowanie, konieczne dla utrzymania w ruchu niemieckiej maszyny wojennej, a jakie pokrycie? Weźmy za punkt wyjścia statystykę przedwojenną.

Zapotrzebowanie normalne Niemiec, łącznie z Austrią i Czechosłowacją wynosiło przed wojną około 7 i pół miliona ton produktów naftowych, Polski (w części okupowanej przez Niemcy) około 250 tys., Francji—7 milionów, Włoch—3 i pół miliona. Holandia, Dania, Belgia, Norwegia łącznie konsumowały około 4 milionów ton, Węgry około 300 tys. ton, Rumunia około 1,9 miliona ton.

Tak więc łączne normalne zapotrzebowanie naftowe terenów zajętych przez Niemcy, wynosi około 24 i pół milionów ton. Oczywiście nie wszystko z tego musi być pokryte. Prywatna komunikacja samochodowa została drastycznie ograniczona, jeśli nie całkowicie wstrzymana. Także i w innych działach prywatne spożycie zostało zawieszone. Pozostają jednak ogromne działy komunikacji publicznej, rolnictwa (rolnictwo niemieckie i zachodnio-europejskie jest silnie zmotoryzowane) i przemysłu, wreszcie zapotrzebowanie ściśle wojenne, które jest tym większe, jako że proces niszczenia zapasów szybko postępuje.

Jeśli przyjmiemy jako minimum konieczne dla utrzymania w ruchu niemieckiej maszyny wojennej—pokojowe normalne zapotrzebowanie Niemiec z Austrią i Czechosłowacją oraz Włoch (Włochy prowadzą dwie kampanie w Grecji i Afryce) oraz jedną trzecią normalnego zapotrzebowania Francji, Belgii, Holandii, Danii, Norwegii, Polski i Węgier (Rumunię uwzględnimy w jej dostawach)—wówczas dojdziemy do sumy 15 milionów ton. Dodajmy, że uważamy stosunek ten raczej za bardzo ostrożny, do czego nas skłania "sprawność" niemieckiej administracji gospodarczej.

W jaki sposób Niemcy mogą uzyskać te ogromne ilości? Produkcja benzyny syntetycznej i mieszanek spirytusowo-benzynowych, mających zresztą ograniczone zastosowanie, szacowana jest maksymalnie na 5 milionów ton rocznie ,a w gruncie rzeczy należało by i te maksymalne ilości zredukować, zważywszy nieustanne bombardowanie odnośnych fabryk.

Z Polski, wedle obliczeń, Niemcy mogą wydobyć najwyżej około 300 tys. ton (przedwojenna produkcja zagłębia jasielskiego wynosiła około 120 tys. ton). Po 300 tys. ton dać mogą Węgry, Francja i Albania (która właściwie już odpadła).

A teraz przyglądnijmy się produkcji rumuńskiej, ponieważ Rumunia jest niewątpliwie najważniejszym dostawcą Niemiec.

Wydobycie ropy z pól rumuńskich stale spadało pacząwszy od r. 1936. W roku tym wyniosło—8,1 milionów ton, w r. 1937—7,1 milionów ton, w r. 1938—6,6 milionów, w roku 1939—6,2 milionów.

Produkcja z r. 1940 na tle nadmiernego zużycia cennego inwentarza amerykańskiego, nie odnawianego już od lat, a także wskutek trzęsienia ziemi—nie zdoła prawdopodobnie osiągnąć ilości z r. 1939. Jednakże wstawmy ją w rachunek sumą globalną 6 milionów ton, dodając, że nie wszystkie te ilości mogą być zwolnione dla niemieckiej maszyny wojennej; i ze względu na wewnętrzne zapotrzebowanie przemysłu rumuńskiego, zwłaszcza naftowego i ze względów komunikacyjnych.

Dostawy nafty rumuńskiej dla Niemiec w r. 1939 nie osiągnęły przyrzeczonej ilości (około 2 milionów ton), nie doszły bowiem nawet $1\frac{1}{2}$ miliona ton. Przyjęcie tej cyfry więc, jako maksymalnych ilości dostępnych dla Niemiec z Rumunii wydaje się raczej szacunkiem ostrożnym.

Nawiasowo dodajmy, że te ilości zagrożone są zasięgiem lotnictwa brytyjskiego, które uzyskawszy nowe bazy na Krecie, może z łatwością bombardować rumuńskie pola naftowe, pracujące dla Niemiec.

Pozostaje jeszcze przywóz nafty rosyjskiej. Rosja w ostatnich latach ogromnie zmniejszyła swój eksport naftowy. Częściowo tłomaczy się to silnym wzrostem wewnętrznego spożycia, zwłaszcza w inwentarzu rolnym. Dostawy Rosji dla Niemiec wyniosły w r. 1932—517 tys. ton, a spadły w r. 1938 do 81 tys. ton. W r. 1939 spadek wywozu nafty rosyjskiej do Niemiec trwał w dalszym ciągu.

Nadwyżkę eksportową Z.S.S.R. oblicza się na 1.200 tys. ton rocznie z czego w najlepszym razie około 300-400 tys. ton mogłoby iść do Niemiec. Ale i te ilości—ze względu na wielkie trudności komunikacyjne, nowe potrzeby w związku z dozbrojeniem, przyłączeniem krajów bałtyckich, dostawami dla Chin, Bułgarii, Jugosławii—wydają się więcej, niż wątpliwe.

Dodając teraz wszystkie pozycje czynne, piszemy: w żadnym razie państwa osi nie mogły sobie zapewnić więcej, niż 10 milionów ton rocznie, co wydaje się ilością na dłuższy czas niewystarczającą do utrzymania w ruchu niemieckiej maszyny wojennej, a cóż dopiero do przedsięwzięcia wielkiej ofensywy lądowej.

I na tym tle dopiero zrozumiemy pęd osi na Bliski Wschód, który kryje wielkie skarby naftowe. (Sam Iran wyprodukował w roku ubiegłym 10 milionów ton, a Irak —$4\frac{1}{2}$ miliona).

Coprawda i te ostatnie skarby nie mogłyby być szybko udostępnione państwom osi, a w ogniu walk uległyby w dużej mierze zniszczeniu. Nie mniej państwa osi muszą próbę tę przedsięwziąć zawczasu, dopóki brak cennego paliwa nie da się na dobre we znaki żarłocznej machinie wojennej, której zasadniczą siłą popędową jest nafta.

Ferdynand Zweig

BOŻE NARODZENIE

Opłatek u lotników

Nie jest łatwo pisać sprawozdania z takich uroczystości, które są czymś więcej, aniżeli najpiękniejszą nawet defiladą, przeglądem czy obchodem. Są chwile, o których wiemy, że otoczy je kiedyś błękitna mgła wspomnień. I w Warszawie lub jakimś domu kresowym będzie się mówiło przy wilii:

— Pamiętam ten dzień w Anglii, Boże Narodzenie w 1940 . . . Staliśmy wtedy w wielkim mieście nadmorskim. . . .

Przyjechał do nas Prezydent Rzeczypospolitej, by łamać się opłatkiem z załogą dywizjonów lotniczych. . .

Lotnicy będą pamiętali te odwiedziny, gdyż były one na prawdę nie tylko miłe, ale i piękne. Piękna była i ta msza lotnicza, odprawiana przez kapelana obozowego w zimny, grudniowy poranek, piękna była ta uroczystość składania życzeń Panu Prezydentowi w ogromnej sali miejscowego kasyna, gdzie ustawiły się wszystkie dywizjony i delegacje żołnierskie. Prosto, jasno, serdecznie zabrzmiały słowa komendanta obozu pułkownika P., który witał Szefa Państwa. Mówił o sercach żołnierskich, które biją jednym wspólnym rytmem. Życzył Panu Prezydentowi spędzenia przyszłych Świąt w wolnej Warszawie. . . .



Lotnicy wymieniają życ zenia z P. Prezydentem

Szef Państwa odpowiadał w imieniu Rzeczypospolitej.

— Lotnicy—mówił—chcę Was zapewnić, że cała Polska wie o tym ogromnym wysiłku i poświęceniu, jakiego dowody już złożyliście i ciągle składacie. . . . Kraj wie, że w tej walce powietrznej, w tym zwycięstwie, jakie odniosła Wielka Brytania wzięliście najwybitniejszy udział. . . . Z tej Polski, tak dzisiaj nieszczęśliwej, płyną ku Nam słowa otuchy, słowa nadziei. . . . Ludzie, którzy sami cierpią ponad ludzką miarę — chcą natchnąć Was nadzieją, wiarą, otuchą. . . . W te długie, ciężkie zimowe noce—wsłuchuje się Polska w szum waszych skrzydeł. . . . W te noce, ręce Polek haftowały dla Was sztandar. . . . Wysłany do Naczelnego Wodza, generała Władysława Sikorskiego, sztandar ten zmierza ku Wam. . . . *Lotnicy polscy, Rzeczpospolita wie, że każdy z Was spełni swój obowiązek. . . .*

Po mowie, która wywarła ogromne wrażenie—P. Prezydent Władysław Raczkiewicz wszedł w szeregi żołnierskie. Rozmawiał z lotnikami. Wypytywał się o dzieje walk, o te koleje losów, które gnały Polaków przez płonący świat. . . . Żołnierze w odpowiedzi składali życzenia Szefowi Państwa. . . . W niejednych oczach zalśniły błyski wzruszenia. . . .

Prezydent łamał się opłatkiem, życząc powodzenia w walkach i spokoju dla rodzin lotników. . . .

Wręczono nam wspaniale wydane pismo lotnicze, "Wiadomości ze świata." . . . Mówiono o dalszych projektach prac, zaznaczając ustawicznie, że najlepszą propagandą będzie rekordowa ilość strąconych samolotów nieprzyjacielskich. . . . A potem chór śpiewał kolędy. A potem wszyscy razem śpiewaliśmy "Boże coś Polskę."

. . . Gdy Prezydent Rzeczypospolitej opuszczał salę — żołnierze ustawili się w wielką podkowę, powtarzając: "*sto lat! sto lat! niech żyje nam!*" Jeżeli prawdą jest, że podkowa stanowi symbol szczęścia—to ta żywa lotnicza podkowa w dniu wigilijnym powinna przynieść największą pomyślność włódarzowi Polskiego Państwa. Nie było bowiem bardziej serdecznych życzeń, jak te, które w nadmorskim obozie lotniczym żegnały Pana Prezydenta. . . .

Tadeusz Kiełpiński

Wilia marynarzy

Był to dla nas prawdziwy post tej Wigilii, bo pociąg z Londynu na skutek jakiegoś "blitzu" po drodze spóźnił się siedem godzin i zamiast o siódmej rano dojechaliśmy o trzeciej popołudniu. W pociągu nic jeść nie dają, więc o śniadaniu mowy nie ma. A kiedy się już jest na miejscu gwałt wielki, bo trzeba zdążyć na Wilię na okręty a tymczasem czeka nas



Marynarze składają sobie życzenia

jeszcze dziesięć formalności: zgłosić się w Admiralicji, dostać wojskowe przepustki do portu i wreszcie dotrzeć na miejsce, bo przecież nikt z nas nie wie—to tajne—gdzie właściwie stoją polskie jednostki. A że mamy filmować i fotografować wieczorem i przy sztucznym świetle więc wieziemy ze sobą ogromny bagaż—lampy, aparaty i statywy.

Nie bardzo nam się wiedzie, bo Admiralicja gdzie indziej, wojskowe przepustki gdzie indziej a okręty bardzo daleko. Zmrok już zapada, kiedy stajemy wreszcie na miejscu. Głodni jesteśmy i bardzo przejęci, czy aby zdążymy. Na okręcie nastrój świąteczny. Marynarze niosą do niskiej i ciasnej sali pod pokładem krzesła, ławy, talerze, ruch panuje i rozgardiasz.

Sala pięknie udekorowana, sztandary i festony ozdobne, stoły stoją dokoła, nie ma którędy przejść, gdzie my się tu z lampami i aparatami pomieścimy. Z kuchni dolatuje nas niepokojący zapach grzybowej zupy i smażonych ryb, w sercu wzruszenie, zwykłe w tych wigilijnych chwilach spędzanych z dala od bliskich, na obczyźnie, lecz przecież wśród swoich. Okręt i ławy stojące w podkowę pod piękną choinką—w chłodnym i mglistym porcie, ludzie zaaferowani, biegający w gorączce przygotowań, to przecież chłopaki z Warszawy, Lublina, Krakowa i Gdyni. Polskie głosy dokoła, poczucie dostojności tej chwili panuje tak, jakby się działo to wśród zaśnieżonych uliczek polskiej wioski, pod gwiezdnym i cichym niebem Mazowsza.

Nie ma tu jednak czasu na sentymenty, bo się nam śpieszy. Jesteśmy spóźnieni a co najgorsze musimy jeszcze dostać z miasta parę żarówek, bo prąd na statku jest 110 volt a myśmy—źle poinformowani—przygotowali się na 240. Więc jeszcze nas czeka wypad samochodem do miasta i pogoń po sklepach.

Wracamy wreszcie gotowi do pracy, a tymczasem nastrój na okręcie zmienił się zupełnie. Bo wszystko już gotowe, siedzą na ławach marynarze, wilia się zaczyna. Jest Admirał i wraz z oficerami składa świąteczne życzenia. Ukazuje się symbol wigilijnego zbratania—biały opłatek, wzruszenie ściska gardło, gdy grube marynarskie palce łamią ten biały okruch święconego chleba. Po prostu, z chłopska i mocno padają sobie w objęcia koledzy i całują się, życząc "żeby w przyszłym roku w wolnej Polsce." Potem już niosą z kuchni dymiące talerze grzybowej zupy, zapach miły drażni nasze podniebienia.

Dostrzegamy to wszystko jak przez mgłę—zaplątani w kable i statywy, z trudem montując nasze aparaty w ciasnej kiszce pąsażu między stołami. Fotografujemy, filmujemy, ale jak tu zapisać na negatywie nasze wzruszenie, gdy z ust setek marynarzy rozlega się śpiew kolend. Gdzieś do ciemnych otchłani pierwszej dziecięcej świadomości sięga melodia "Bóg się rodzi" . . . "W żłobie leży" . . . "Lulajże Jezuniu."

Przy stole oficerskim siedzi ksiądz — Polak, ksiądz — Anglik ubrany jak u nas pastorzy, dwie Angielki w mundurach, paru oficerów angielskiej marynarki. Obcy, dziwią się zapewne tej fali wzruszenia idącej pod pokładem okrętu pochlastanego przez surowe fale angielskich mórz, wichry Atlantyku i odłamki niemieckich bomb. Dla nas znane to wszystko. Choinka z małymi świeczkami i wiszącymi kolorowymi aniołkami i srebrnymi świecidełkami stała co roku w naszych domach. A na górze poza milczącemi lufami dział nad masztamł i polską banderą, niebo stoi szare, bure i zimne, bez gwiazd, port nurza się w brunatnym black-out'cie i raz po raz wyją krótko, jak śmiech hien—syreny z przejeżdżających w ciemności statków.

Robota skończona i wilia skończona. Ale jeszcze teraz, gdy z trudem wyplątujemy kable naszych lamp raz po raz padają sobie w objęcia marynarze, życzą sobie zwycięstwa i powrotu, nie łatwo podzielić się opłatkiem ze wszystkimi w rodzinie, która liczy ponad sto osób.

Dopiero teraz przypominamy sobie, żeśmy nic nie jedli i już nas proszą na wilię do oficerskiej mesy. Jesteśmy brudni i zmęczeni. Trzeba się umyć i trzeba złożyć aparaty . Trwa to długo, bo w międzyczasie trzeba też przyjąć życzenia od tłoczących się dokoła z opłatkami marynarzy. Aż wreszcie zasiadamy do stołu w małym gronie i zaczyna się nasza własna wilia. Smak tradycyjnych potraw, opowiadania o Polsce, śpiewane wspólnie kolendy, i wreszcie opowiadania o morskich przygodach, o walce na rozwścieczonej fali, o burzy żywiołów i ognia, przez jaką od roku polscy marynarze idą wytrwale do portu, który czeka na nich w kraju. Wtedy widzimy jakie to proste, ten angielski postój, to tylko odpoczynek w wielkiej podróży.

Dopiero następny dzień ukazuje nam polskie okręty wojenne w świetle dnia i—o dziwo—słońca. Stoją w obszernej, wzgórzami obramowanej zatoce, wśród stalowej wody, różowych chmurek i stada wciąż przelatujących mew. Niskie zimowe słońce kładzie się na zgrabnych liniach szarego metalu. Okręty stoją w pogotowiu. Lada chwila wyruszą na służbę. Uzbrojone są wspaniale—lufy dział świecą w bladym poranku.

Na okrętach święto—przybywa w odwiedziny Naczelny Wódz. Zastajemy naszych przyjaciół czyszczących mundury i buty, okręty świecą się wymyte i czyste, bandera wesoło łopocze z wiatrem. Wódz Naczelny przybywa i szeregi ustawione na pokładzie prężą się na widok jego znajomej sylwetki.

Po części oficjalnej i po pięknym przemówieniu wygłoszonym do marynarzy Generał gwarzy z nimi, wypytuje, ogląda okręty, zwiedza, zagląda nawet do kuchni i probuje przygotowywanego obiadu.

Gdy następnego dnia przybywamy rano, aby dokonać dodatkowych zdjęć, zastajemy nasz okręt odchodzący w morze na służbę. Znika wkrótce w sinej mgle, kryjącej morze i gdy wykonaliśmy ostatnie zdjęcia, patrzymy w dal, gdzie na wielkich wodach, wśród min i łodzi podwodnych, pod nieustannymi nalotami wrogich bombowców flota pilnuje Anglii. Dumni jesteśmy, że Polacy biorą udział w tej walce i że nasza flota wojenna—najmłodsza w Europie—tak dzielnie i skutecznie współpracuje z największą potęgą morską świata, z niepokonaną *Royal Navy.*

Eugeniusz Cękalski



rys. Tadeusz Lipski

DWIE WIGILIE

Jedna—czarna, posępna rozpaczą nabrzmiałą łzami, gorącym wspomnieniem szczęśliwego wczoraj.

Druga z czerni w fiolet odmieniona, pełna powagi, pogodzenia się z cierpieniem, z rosnącym promieniem wiary.

Ranek 24 grudnia 1939 roku, w Warszawie był szary i mroźny. Twarze ludzi jeszcze smutniejsze niż zwykle. Gdzie uciekła beztroska świątecznej krzątaniny, gdzież zniknęli ludzie i towary ze sklepów? Każdy pragnął zapomnieć, że to dziś święto radosne, bo radości w sercu nie stało.

Na skwerach, na placykach—skromne groby, tych, co polegli za Ojczyznę, za Warszawę. "Kto umiera—wolnym już. . . ." Może oni szczęśliwsi? Nie widzą nienawistnych zielonych mundurów, obcych żołnierzy dumnych, mściwych, bezczelnych.

I nadszedł zmierzch, zabłysła jedna, potem wiele gwiazd na niebie. Lecz niebo wyiskrzone już nas nie cieszy.

Trzeba zasiąść do stołu wigilijnego. Nie mamy ochoty, nie chcemy, nie możemy przebrać się w lepsze ubrania. Gospodyni nakryła, jak to było samo przez się rozumiejącym obyczajem "świątecznego" serwisu. Nakryć jest tyle, co zwykle. Lecz krzesła pozostały puste. Nie przyszli.

Ależ nie, oni są, napewno są, Przecież wystarczy powieki opuścić, by widzieć ich, mieć pewność, że są. Tylko na chwilę zamilkli.

Lecz dlaczego łzy spływają po policzkach? Ach: to wina oczu niesfornych, które przylegają do pustego obok talerza.

I czy nie wierzyć w cuda? Właśnie dziś rano nadszedł list, z niewoli, niecenzurowany. Jakaż w nim wiara i pokora. Pisał go chłopak młody, student podchorąży, ten, który nic nie znaczył. Kocha Polskę. Pisze ze skruchą: "Wydawało mi się, że spełniłem swe zadanie jak najlepiej, dziś widzę, że jeszcze nie dosyć dobrze; trzeba było dać z siebie więcej, wiele więcej. Ale jeśli Bóg pozwoli, odrobię swój błąd w przyszłości, w dójnasób, w trójnasób."

Jest malutka choinka. Lecz leniwi domownicy nie przybrali jej w jaskrawe świecidełka. . . . Zdobią ją tylko cieniutkie "wojenne" świeczki i srebrne włosy anielskie.

Wstajemy od stołu. Spoglądam na głuche, martwe Krakowskie Przedmieście.

Nie ma wesołych neonów, nie ma świateł. W dole nie płynie beztroski tłum na pasterkę.

I znów te łzy.

* * *

24 grudnia 1940 roku—powiedziałam sobie, żeby nie wiem co, łez nie będzie.

Bo i jakże to? Sądzę, że gdybym wiedziała rok temu, gdzie tę wilię spędzę było by mniej łez. Miałam zaszczyt zasiąść do stołu wigilijnego pospołu z żołnierzami polskimi, co czynną pełnią służbę, walcząc "za naszą i waszą wolność." "Gdzieś w Szkocji" . . .

I czy nie wierzyć w cuda? Właśnie dziś, wraz z banalnymi życzeniami otrzymałam kartkę, pisaną z niewoli z 14 października. Właśnie dziś karta nadeszła od brata, od którego nie miałam wieści przez siedem miesięcy. . . .

I znów o zmierzchu zabłysły gwiazdy, nad inną ziemią, niż rok temu. Wchodzę do sali, ogromna tuja—zamiast naszej choiny, przepasana srebrnymi łańcuchami rozwesela oczy.

Słusznie wyraził się komendant, jesteśmy tu, a jednocześnie w Kraju i z wszystkimi bliskimi, rozproszonymi po świecie, że mimo dzielących nas przestrzeni—jesteśmy razem. Razem, bo nas nic rozdzielić nie zdoła.

Słowa kapelana — wlewają otuchę do serca.

Potem dzielimy się opłatkiem. Trwa to długo, gdyż każdy pragnie złożyć życzenia koledze.

Po wilii, przed śliczną szopką zjawia się gość niespodziewany, bo . . . chłop polski, w sukmanie, "co to z Polski dopiero co przybył, gdyż przysłali go sąsiedzi, żeby zobaczył, czy to w tej Anglii i Szkocji krzywda się jaka nie dzieje polskiemu żołnierzowi. . . ."

A bo też, przyszedł do nas chłop nie bylejaki. Widział samego Hitlera. Pragnął zobaczyć, jak to "paskudztwo" wygląda, miał zamiar—skrócić dni jego żywota, ale się nie udało. A trafił do niego w ten sposób, że powiedział, iż chce do rządu polskiego w "Gubernii Warszawskiej" przystąpić. Jak się o tym "niemce dowiedziały, a nuż koło mnie skakać, a tańcować przyleciały, a potem to mnie z szykanami do samego Adolfa odstawiły. . . ."

A potem popłynęły tony smętnych kolend i myśli i życzeń. . . .

Monika Stokowska



ŻOŁNIERZY POLSKICH

Święta armii lądowej

Zapadał wieczór wigilijny. Pogodne niebo szkockie, które obdarzyło nas w tym dniu uroczystym uśmiechem grudniowego słońca, przysłaniało się co raz bardziej chmurami. W mieście panował zwykły ruch i sklepy były otwarte, mimo, iż chwila pojawienia się pierwszej gwiazdy—sygnału zasiadania do uczty wigilijnej—była niedaleka. Nie było ani śladu tego nastroju, który zawsze opanowywał każde serce polskie tam u nas, w domu.

Do obszernej sali w kwaterze dowództwa I Korpusu schodzili się powoli oficerowie polscy i brytyjscy; szkockie panny z A.T.S. kończyły ozdabianie choinki, obwieszonej barwnymi łańcuchami na sposób polski, jabłkami i orzechami; nie brakło nawet popularnych na wsi "włosów anielskich" jako ozdoby. Długie stoły, zasłane białymi obrusami tu i ówdzie talerze z opłatkiem.

Z daleka dolatuje warkot aut—to Dostojni Goście przybywają na wieczerzę wigilijną. Obecni ustawiają się w dwuszeregach wzdłuż stołów—chwila oczekiwania — i Prezydent Rzeczypospolitej oraz Wódz Naczelny wchodzą do sali. Wraz z nimi sympatyczny gentleman w cywilnym ubraniu. To członek rządu brytyjskiego, min. dr. Dalton, wielki przyjaciel Polaków.

Dowódca Korpusu wygłasza przemówienie powitalne, składając życzenia panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i Naczelnemu Wodzowi. "Oby ta wigilia była już naprawdę ostatnia na tułaczce, obyś Panie Prezydencie wraz z Wodzem Naczelnym, który poprowadzi nas do zwycięstwa, mógł wrócić do ojczyzny. Oby Bóg błogosławił twojej buławie Generale!" Jeszcze krótkie powitanie w języku francuskim brytyjskiego ministra i już Pan Prezydent bierze opłatek z rąk małego chłopczyka polskiego i łamie się z Wodzem Naczelnym. Nastaje uroczysta cisza, w której słychać tylko szelest opłatka i półgłosem składane życzenia. Pan Prezydent i gen. Sikorski dzielą się chlebem wigilijnym z min. Daltonem, dowódcą korpusu, a potem obchodzą kolejno dwuszeregi, składając życzenia.

Gasną światła lamp i reflektorów—na stołach zapalono świece, osadzone w drewnianych lichtarzach—zaczyna się wieczerza wigilijna. Za oknami ciemna noc grudniowa, nie ma nawet promienia księżycowego, po którym anhellicznym szlakiem, dusza mogłaby spłynąć do Polski, do Swoich, a przecież w Kraju, w dalekiej, niezłomnej Ojczyźnie są w tej chwili wszystkie myśli i serca. Płyną wspomnienia w cichych rozmowach o minionych, szczęśliwych wigiliach w domu rodzinnym, o pierwszej wygnańczej wspólnej wieczerzy w ubiegłym roku na Węgrzech, w Rumunii, we Francji. I jedna myśl przenika wszystkie serca. Oto jesteśmy oddzieleni murem tyranii i przemocy od naszych rodzin, nie wiemy, czy żyją i gdzie przebywają nasi najbliżsi. Oto jesteśmy daleko od Ojczyzny, dalej, niż w roku ubiegłym, bo aż z Egiptu i Palestyny odległej płyną dziś do Polski westchnienia serdeczne, a przecież czujemy, że stojąc z bronią u nogi na ziemi szkockiej bliżsi jesteśmy wolności i zwycięskiego powrotu. Już drżą w posadach złowrogie moce gwałtu i tyranii. . . .

Zwolna rozmowy zaczynają się ożywiać. Goście brytyjscy rozsmakowują się "*Polish Christmas soup,*" która jest taka doskonała, ale nazwę ma okropnie trudną do wymówienia i zapamiętania: barszcz! Na choince płoną barwne lampki; przy stołach intonują pierwsze kolendy: "Wśród nocnej ciszy" i "Bóg się rodzi."

W pewnym momencie powstaje Naczelny Wódz i wznosi toast na cześć Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, a potem pije zdrowie Króla Wielkiej Brytanii Jerzego VI. Za chwilę przemawia Pan Prezydent:

"Panie i Panowie—pozwólcie, że się tak wyrażę—koledzy. Jestem już wprawdzie oficerem w stanie spoczynku, ale jako człowiek i prezydent *najlepiej czuję się wśród was, żołnierze.* W dniu dzisiejszym oczy wszystkich nas zwracają się ku Ojczyźnie; serca są przy najbliższych. Jeżeli tak było zawsze w kraju, to ileż głębsza jest nasza myśl o Polsce, kiedy ten święty wieczór wigilijny spędzamy zdala od Kraju w Wielkiej Brytanii. Do Kraju skierowujemy nasze myśli i serca. Wszystkie uczucia nasze skoncentrowane i zespolone zwracają się ku Tobie, Polsko. A stamtąd rwą się ku wam najgorętsze uczucia i pragnienia w związku z wielkim dziełem, które rozwijał, rozwija i rozwijać będzie Wódz Naczelny. Po wszystkim, cośmy przeszli, możemy spokojnie i z dumą patrzeć w oczy sobie i obcym. Oceni to historia i przyzna potomność, żeśmy potrafili walczyć o lepsze jutro Polski i świata. Wznoszę ten kielich na cześć Naczelnego Wodza życząc mu, aby to, co tak świetnie zapoczątkował prowadził dalej, a dokonał szczęśliwie w Polsce."

"Jest wśród nas—ciągnął dalej Pan Prezydent—p. minister Dalton, który jest nie tylko gościem i reprezentantem rządu Wielkiej Brytanii, ale i naszym szczerym i wypróbowanym przyjacielem. Wśród przyjaciół zwykliśmy spędzać wieczór wigilijny. I dlatego cieszę się, że widzę go w naszym gronie. Pragnę go serdecznie pozdrowić i życzyć, aby współpraca naszych narodów rozwijała się dalej w tym kierunku, w którym idą pragnienia wszystkich wolnych ludów świata. Pańskie zdrowie panie Ministrze!"

Brzmi huczne: niech żyje!—i gość angielski odpowiada przemówieniem. A mówi z takim ogniem i zapałem i tyle uczucia wkłada w swoje słowa, że już po pierwszych zdaniach skadamy między bajki "legendę" o niezmiernej powściągliwości i braku temperamentu angielskich mężów stanu. Niech spoczywa w lamusie obok wyśmianych dawno bajań o przysłowiowym skąpstwie Szkotów.

"Chciałbym do was przemówić po polsku,—mówi dr. Dalton—ale język wasz jest równie piękny, jak trudny. Będę więc mówił po angielsku i to nie tylko jako przedstawiciel rządu, ale także jako oficer artylerii czasu ostatniej wojny i jako przyjaciel, który był w waszym pięknym kraju i kocha wasz naród. Kiedy byłem w Polsce słyszałem legendę o wojsku uśpionym w Tatrach. Oto teraz stał się cud, bo ta armia żyje, walczy dalej o wolność swego narodu i bierze udział w obronie mojej ojczyzny. Powierzyliśmy wam ważny odcinek naszego wybrzeża i mamy do was zupełne zaufanie. Wasi lotnicy latają zwycięsko nad naszą wyspą i skrzydło w skrzydło z lotnikami brytyjskimi czynią wyprawy na terytorium Niemiec, biorąc sprawiedliwy odwet za zbombardowane wsie i miasta Polski. Szanujemy was i podziwiamy, bo pierwsi uderzyliście na całą potęgę tyranii i nie załamaliście się wtedy, gdy cała Europa czołgała się na brzuchu przed triumfującą chwilowo barbarią."

Na zakończenie zaś powiedział p. Minister Dalton po polsku: "*Anglicy i Polacy są twardzi. Zwyciężymy i rozgromimy Niemców i ich partnerów. Niech żyje Polska nieśmiertelna!*"

Znowu zabrzmiały okrzyki na cześć gościa, a potem śpiewano wspólnie kolendy. Wieczerza dobiegała końca i Prezydent Rzeczypospolitej oraz Wódz Naczelny opuścili zebranie żegnani hucznymi okrzykami.

Na dole w sali jadalnej ustawiono ołtarz do "Pasterki." Duża szopka w krakowskim stylu—dzieło pracowitych rąk żołnierskich zajmowała cały kąt pokoju.

Wracaliśmy na kwatery w milczeniu. Noc była ciemna, śniegu nigdzie ani śladu wśród tej szkockiej zimy. Znowu myśli uleciały do kraju. Tam o tej porze siedzą rodacy przy ubogiej, jakże ubogiej, wieczerzy wigilijnej. Z dalekich osiedli ruszają już powoli ludzie, aby zdążyć do kościoła na "Pasterkę." Na niebie w otoku mglistej poświaty błyszczą nieliczne gwiazdy. Te same, widzi żołnierz polski w obcym, ale przyjaznym kraju, te same zwiastują Polakom w uciemiężonej Ojczyźnie Dobrą Nowinę—Narodzenie Pana.

Ludwik Bojczuk



P. Prezydent łamie się opłatkiem z ministrem Daltonem

W gościnie angielskiej

Właściwie to prawie było, jak w Polsce: duże dworzysko z salą jadalną, mieszczącą około 50 lotników oraz około 20 "cywilów," stół w podkowę, zasłany sianem, wilia z barszczem, ryba /całkiem jak w Polsce przyrządzona/, wreszcie łamańce z makiem, specjalnie z Londynu sprowadzonym. Do stołu podawała Marysia w stroju góralskim, pochodzącym wprost z Załucznego koło Nowego Targu. W innym pokoju stało drzewko z ozdobami przywiezionymi z Polski przed wojną, takimi, jakie widywaliśmy od naszego dzieciństwa.

"cywilów" przemawiał Prof. K. Wodzicki po polsku i angielsku.

"Tak się złożyło—mówił—że spędzamy tę drugą wilię na obczyźnie w tym North Leigh, gdzie dzięki Pani Wickham Steed powstała od szeregu miesięcy mała kolonia polska, której ona od samego początku jest najtroskliwszą opiekunką. Jej zawdzięczamy nie tylko nasz pobyt i tę polską wilię, ale też najlepszą książkę wydaną w Anglii o Polsce. Książkę, w której tak mało jest o znakomitościach polskich, o ludziach bogatych i możnych, ale w której tyle jest o naszym ludzie, o duszy jego, o



P. Prezydent i Naczelny Wódz przy stole wigilijnym w obozie

Prawdziwie składkowa była ta wilia. Jedni przywieźli mak i opłatki, panie polskie pomagały w przyrządzaniu potraw. Najcięższą bodaj pracę wziął na siebie gospodarz domu /jak wiadomo w Anglii do mięsa zalicza się i ryba, bo ją przyrządza i kraje gospodarz/ sławny publicysta i polityk H. Wickham-Steed: przez dwie godziny pracował w pocie czoła nad obrządzaniem i pokrajaniem ryb dla 70 stołowników. Wreszcie honory gospodyni czyniła inicjatorka tego wieczoru Pani Violet Mason Steed, autorka jednej z najlepszych książek o Polsce. Książki, której wszyscy obecnie na próżno poszukują, ale o której ponownym wydaniu nikt dotąd jakoś nie pomyślał.

Gdyśmy, żołnierze i cywilni, podzielili się opłatkiem, Kapitan S. odczytał rozkaz świąteczny Dowództwa Polskich Sił Lotniczych i złożył gospodyni serdeczne podziękowania za gościnę. W imieniu tej najpotężniejszej krynicy sił naszego Narodu."

"Ta wilia łączaca przy jednym stole naszych żołnierzy, pracowników cywilnych oraz gospodarzy i ich przyjaciół jest napewno symbolem nie tylko walki, jaka jeszcze nas czeka, ale i przyszłej wspólnej, twórczej współpracy w odbudowie naszej Ojczyzny."

Wydawało się, że portrety różnych starszych panów i pań w starych, dawnych strojach, jakby wesoło zaczęły sie uśmiechać, gdy z piersi żołnierskich na prędce skleconego chóru popłynęły po raz pierwszy w tym miejscu dźwięki polskich kolend, pieśni narodowych, wreszcie hymnów polskiego i angielskiego.

I Polska, tak dziś daleka, do której bardziej, niż kiedykolwiek w ten wieczór tęskniliśmy, naraz na tę chwilę, wydawała się nam tak bliska, była niemal wśród nas . . .

Uczestnik

Zjazd powstańców wielkopolskich w Szkocji



Fragment dekoracji sali

Kiedy w dniu 27 grudnia b.r. przez ulice szkockiego miasta przeciągał pochód powstańców wielkopolskich, którzy przybyli na zjazd w dwudziestą drugą rocznicę rozpoczęcia zwycięskich walk, opadły mnie dawne wspomnienia.

Był kwiecień roku 1919. W miasteczku kresowym, w którym jako uczeń wówczas przebywałem, rozeszły się wieści, że od Lwowa lada dzień ruszy potężna ofensywa, a dni okupacji ukraińskiej są już policzone. Któregoś dnia pokazano mi strzęp lwowskiego dziennika, srodze zmiętoszony, który niewiadomym sposobem przeszmuglowano przez linię frontu: była tam rycina, przedstawiająca oddział żołnierzy polskich na ulicach Lwowa. Żołnierze w rogatywkach szli mocnym, zamaszystym krokiem; na chodnikach witały ich entuzjastycznie rzesze ludności. Napis pod spodem głosił, że to Wielkopolanie, wyrzuciwszy w zwycięskim powstaniu Niemców z własnej dzielnicy, przyszli na odsiecz Lwowa. Strzępek gazet obiegł całe miasteczko, podawany z rąk do rąk, budząc wszędzie otuchę i nadzieję. "Poznaniacy są na froncie, więc będzie dobrze"—mówiono radośnie. Już wtedy bowiem powszechne było mniemanie, że to lud twardy i dzielny. Nadzieje nasze spełniły się i przy końcu maja tego roku do miasteczka wkroczyły pierwsze oddziały polskie z 14 dywizji wielkopolskiej.

Tak samo mocno i zamaszyście walili w rytm marsza o bruk szkockiego miasta w r. 1940 Bracia Poznaniacy! I chociaż bolesnym symbolem tragedii naszego narodu jest fakt, że Powstańcy Wielkopolscy rocznicę rozpoczęcia bojów obchodzą w dalekiej Szkocji, podczas gdy ich miasto umiłowane i cała prastara dzielnica piastowska wydane są na pastwę zorganizowanego barbarzyńskiego niszczenia, nie rozpacz, ale wiara silna w zwycięstwo przepełnia ich serca.

Nabożeństwo w katolickim kościółku odprawia ks. Biskup Polowy WP Gawlina; na chórze orkiestra I Brygady strzelców gra polskie kolendy. Kończy się msza św. i ks. biskup zwraca się do obecnych:

"Bracia Wielkopolanie! Rocznicę Powstania obchodzić wam przyszło na ziemi szkockiej. A w kraju kościoły zamknięte, księża deportowani, działacze rozstrzelani—smutna to rocznica!" Podkreśliwszy, że udział w Zjeździe Prezydenta Rzeczypospolitej i członków rządu jest wyrazem wdzięczności i uznania dla czynu powstańczego jego organizatorów i uczestników, przypomniał Dostojny Kaznodzieja, że i w tragicznych dniach wrześniowych w Polsce i później we Francji Wielkopolanie chlubnie wypełnili żołnierski obowiązek.

A spełnili i spełniają go dalej dlatego, że tężyzna synów tej ziemi piastowskiej wspiera się na wielkich zaletach charakteru. Cnoty "zbytkowne"—jak je nazwał ks. Biskup—a więc: idealizm, wspaniałomyślność nawet wobec wroga, szlachetny, szeroki gest—są właściwe wielu Polakom; nie zawsze jednak w parze z nimi idą "cnoty podstawowe," decydujące o treści życia codziennego: rzetelność, wytrwałość, punktualność, prostota w myśleniu, trzeźwość i twardość. Te właśnie zalety cechują Wielkopolan, one pozwoliły im dokonać wielkich rzeczy w dziedzinie rozwoju życia gospodarczego i społecznego, one umożliwiły zorganizowanie i przeprowadzenie zwycięskiego powstania, które zaważyło nie tylko na losach ziem zachodnich, ale całej Polski. Nie zawsze umiano ocenić wartości charakteru Wielkopolan; uznał je w pełni jednak Kościół wynosząc siedmiu synów tej ziemi do godności biskupiej i organizując w tej części Ojczyzny centrum ruchu religijno-społecznego. Wierni staremu zawołaniu: "Bóg i Ojczyzna" pójdą Wielkopolanie—powstańcy i synowie powstańców jeszcze raz do walki zwycięskiej o wolność Polski.

Po nabożeństwie odbyła się akademia w sali miejscowego kinoteatru. Na scenie wspaniała dekoracja, dzieło podchor. K.: na środku ogromny Orzeł Biały z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej na tle chorągwi o barwach narodowych. Po prawej stronie obraz historycznego ratusza poznańskiego i data 27.XII.1918, po lewej na tle sztandaru brytyjski lew w koronie.

Sala zapełnia się szybko. Przeszło 300 Wielkopolan przybyło na zjazd; z czego ogromna większość to uczestnicy walk, reszta do delegaci żołnierzy, pochodzących z ziem zachodnich oraz dowódcy jednostek bojowych z dowódcą korpusu na czele. Przybywa również ks. Biskup Gawlina, Członkowie Rady Narodowej w osobach p. Elżbiety Korfantowej, urzędującego prezesa Stanisława Mikołajczyka, P. Jóźwiaka; Rząd reprezentuje min. Marian Seyda.

Chwila oczekiwania na przybycie Pana Prezydenta. Na sali gwarno. Powstańcy przybyli z różnych oddziałów witają się serdecznie. Płyną rozmowy: padają pytania o losy rodzin, przyjaciół, towarzyszy broni.

Wchodzi Pan Prezydent, powitany hymnem narodowym. Prezes Związku Powstańców Wielkopolskich wita gości, a następnie kieruje słowa powitania w języku angielskim do przedstawiciela armii brytyjskiej i miejscowego społeczeństwa, poczem zaprasza prez. Mikołajczyka do objęcia przewodnictwa.

Następnie moment uczczenia pamięci poległych, poczem przewodniczący odczytuje depeszę, nadesłaną przez Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego.

Dzień dzisiejszy spędzam z marynarką wojenną, z której rozwojem związana jest nasza przyszłość na morzu. Nie pozwala mi to na udział osobisty w uroczystości, poświęconej jednemu z najpiękniejszych momentów historii polskiej. Powstanie Wielkopolskie 1918—1919 *roku jest plonem długoletniej pracy patriotycznej Hipolita Cegielskiego, Seweryna Mielżyńskiego i Karola Marcinkowskiego. Jest ono dziełem wielu pokoleń, których wolę niezłomną zrealizowali w poprzedniej wojnie światowej nasi najznakomitsi rodacy, a wśród nich Trąmpczyński i Korfanty. Zostało ono dokonane pod bezpośrednimi auspicjami Ignacego Paderewskiego, który tak świetnie symbolizuje i obecnie jedność narodową podówczas zwycięską. Są wśród nas organizatorzy i uczestnicy tego powstania, z Marianem Seydą na czele. Zaświadczą oni jak gwałtownie załamała się, zdawało się, niezwyciężona buta krzyżacka w* 1918 *roku. Tak samo będzie i w tej wojnie, która zakończy się trwalszym od ówczesnego triumfem naszej świętej sprawy. Bezgraniczne cierpienia, na jakie są wystawione wciąż nasze dzielnice piastowskie nie pójdą na marne. Wrócą one znowu, lecz tym razem na zawsze i powiększone do Macierzy. W imieniu Rządu oraz wojska składam hołd bohaterom tych ziem i daję wyraz najgłębszej wierze w ich wspaniałą przyszłość.*

Prezes Rady Ministrów i Naczelny Wódz Gen. Sikorski.

Depesze nadesłali również gen. Modelski i min. Stroński.

Oceniając znaczenie powstania wielkopolskiego podkreślił prezes Mikołajczyk, że było to pierwsze *zwycięskie* powstanie polskie. Było ono owocem pracy całego szeregu działaczy: myślicieli, poetów, duchownych, organizatorów życia gospodarczego. Było wyrazem uświadomienia narodowego i zespolenia wszystkich warstw społecznych, dowodem tężyzny Wielkopolan. Jeśli teraz mieszkańcy tej dzielnicy poddani są najokrutniejszemu prześladowaniu, jeżeli Niemcy systematycznie tępią żywioł polski na ziemiach zachodnich, to dlatego, iż wiedzą, że Polacy na "obszarach wcielonych" czekają tylko momentu. Z męczeńskiej ziemi wielkopolskiej dochodzi nas nieustannie głos, który dla wszystkich powinien być nakazem: "*Wierzcie i trwajcie, bo wierzymy a trwamy i nic nas nie złamie.*"

Członek Rady Narodowej P. Jóźwiak przypomniał dzieje walki z niemczyzną w dzielnicy wielkopolskiej, nakreślił obraz społeczeństwa w przeddzień wybuchu i przedstawił dzieje walk. Od momentu prowokacji Niemców, którzy zerwali z jednego z domów flagę brytyjską i francuską pada iskra na prochy. Idzie szturm na prezydium policji, padają pierwsze ofiary; ginie młody robotnik Franciszek Ratajczak. Po dwuch dniach krwawych walk wolny jest Poznań, a 14 stycznia po ciężkich zmaganiach pod Szubinem, Kcynią, Nakłem wolnością oddycha cała Wielkopolska.

O walkach powstańczych mówili trzej uczestnicy powstania. Zwycięstwo nie przyszło łatwo: blisko dwa tysiące poległych okupiło życiem ostateczny triumf polskiej sprawy. Walka była zacięta i wymagała wielkiego wysiłku ze strony całego społeczeństwa. Niezliczone były dowody bohaterstwa, ale też plonem powstania było nie tylko oswobodzenie Wielkopolski, ale również zachęcenie Pomorza i Śląska. Obok 100,000 Straży Narodowej, stworzyło powstanie 65,000 regularnego, doskonale uzbrojonego wojska, które walczyło o Lwów i decydującą rolę odegrało w r. 1920 w bitwie pod Warszawą.

Serię przemówień zakończył min. Seyda. Mowę jego przerywały huczne oklaski, gdy mówił o konieczności wytężenia wszystkich sił w walce, która się zbliża, gdy dowodził, że Polska musi być potężna, że musi mieć rozległe granice i nie może zrezygnować z ziem wschodnich. Przestrzegał mówca przed poddawaniem się uczuciu rozczarowania, które na ciernistej drodze do wolności może jeszcze nieraz targać sercami Polaków.

"Do Polski dojdziemy! *Módlmy się do Matki Boskiej, żeby nam dane było spotkać się w wolnej Ojczyźnie. I gdziekolwiek staniemy najpierw w kraju, w Gdyni na piaskach Pomorza, w Zbąszyniu czy w Tatrach, padniemy na kolana i ucałujemy ziemię polską, a potem po kilku dniach radości pójdziemy do zwykłej, codziennej pracy.*"

Tym podniosłym akordem oraz odśpiewaniem Mazurka Dąbrowskiego i "Boże coś Polskę"—zakończył się Zjazd Powstańców Wielkopolskich na ziemi szkockiej.

Ludwik Bojczuk

Święto I Dywizji

Późny szkocki dzień ledwie zdążył wyłonić się z ciemności i uśmiechnąć jaskrawym błyskiem zimowego słońca, gdy w rejonie zakwaterowania Dywizjonu Rozpoznawczego zaroiły się błonia. Długim, stalowym szeregiem stanęły ciągniki. Przy sprzęcie załogi w pełnym żołnierskim moderunku bojowym. Nieco dalej załadowane piechotą auta ciężarowe. Potężna lufa przeciwlotniczego c.k.m. budzi zainteresowanie reporterów miejscowego szkockiego pisma, których uśmiechnięty celowniczy z humorem informuje jakie to "chrabąszcze" mogą polecieć z takiego "ganu." Dziś jednak, wykorzystując pogodę latają tylko stadami szkolne maszyny brytyjskie.

Z daleka widać zajeżdżające auta, padają słowa komendy, szeregi nieruchomieją w postawie "baczność," a orkiestra brygadowa gra hymn narodowy. Pan Prezydent Rzeczypospolitej i Wódz Naczelny odbierają raport i witają żołnierzy, a potem przechodzą przed frontem oddziałów. Członkowie Rady Narodowej z urzędującym wiceprzewodniczącym p. Mikołajczykiem na czele, min. Seyda, przedstawiciel Polaków z Ameryki p. Piskorski, dowódcy i delegacje oddziałów, stacjonujących w Anglii są również obecni na uroczystości dekoracji oficerów i szeregowych I Dywizji Grenadierów. W ten sposób w żołnierskim święcie jednej formacji bierze udział nie tylko cała armia, ale również Rada Narodowa, Rząd i Polonia Zagraniczna.

Przed frontem oddziału w jednym szeregu od generała do szeregowca stanęli ci, których czyny żołnierskie nagrodzone będą za chwilę orderami "Virtuti Militari" lub "Krzyżem Walecznych." Wódz Naczelny wraca po dokonaniu przeglądu i staje przed szeregami. Wśród skupionej ciszy donośnie brzmią jego słowa:

"*Żołnierze! w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej, który uświetnił swoją obecnością nasze żołnierskie święto, w jego imieniu i moim własnym, w imieniu Służby Narodowej, złożę hołd tym spośród was, którzy wyróżnili się na polu bitwy, żołnierzom I Dywizji Grenadierów.*

Pułkowniku S.! Ty, podobnie jak inni dowódcy, w strasznych dniach czerwcowych, w najcięższym ogniu, dawałeś osobisty przykład męstwa, jak na dowódcę przystało, prowadziłeś kolegów do walki, osłaniając jako dowódca artylerii odwrót oddziałów francuskich i polskich.

Swym męstwem przywróciliście zaufanie do Armii Polskiej, podnieśliście w górę sztandar oręża polskiego, przywróciliście zaufanie do sprawy polskiej. Męstwem osobistym, dzielnością, obowiązkowością i wytrwałością zasłużyliście na odznaczenie, które za chwilę będzie waszym udziałem. Jesteście dla nas wzorem, bo w najtrudniejszych warunkach, w ogniu, w atmosferze nieufności i załamania, potrafiliście uchronić prowadzone przez was oddziały i kolegów od paniki. Jesteśmy przekonani, że pozostaniecie nadal wzorem tu, gdzie w o ileż korzystniejszych warunkach przyjdzie wam walczyć. Wiem, że świecić będziecie przykładem w chwilach próby, które niewątpliwie nadejdą.

Żołnierze! W chwili obecnej skierujmy nasz wzrok ku krajowi, który z biciem wszystkich serc wsłuchuje się w szczęk oręża polskiego. Kraj ten śledzi wasze czyny, śledzi naszych bohaterskich lotników i wspaniałą marynarkę wojenną, bo wie, że w ten sposób sprawa polska żyje, że w ten sposób idziemy ku zwycięstwu. Polska wyjdzie z tej wojny wielka i sprawiedliwa. Droga nasza jest trudna i cierniowa—ale jest jedyna. Wytrwajmy na tej drodze!

Kraj nasz nie załamał się, nie stracił wiary, chociaż po upadku Francji fala chwilowej depresji przebiegła od wschodu do zachodu. Zachowuje niezłomną i godną postawę, która imponuje nawet nieludzkim wrogom. Kraj ten w nas wierzy, kraj ten wierzy w Wielką Brytanię, a wiara tego rodzaju zobowiązuje do tym ofiarniejszej służby."

Następuje moment najbardziej uroczysty: dowódca artylerii I Dywizji, otrzymuje krzyż Virtuti Militari IV kl., kilku innych oficerów to samo odznaczenie kl. V. a trzydziestu kilku innych oficerów i szeregowych dekoruje Naczelny Wódz Krzyżem Walecznych, przy czym kilku otrzymuje go po raz trzeci i czwarty. Z kolei gen. Sikorski przedstawia odznaczonych Panu Prezydentowi, który wraz z przedstawicielem rządu i Rady Narodowej składa im gratulacje.

Przed frontem staje teraz dowódca bohaterskiej I Dywizji i podziękowawszy za odznaczenie podkomendnych mówi:

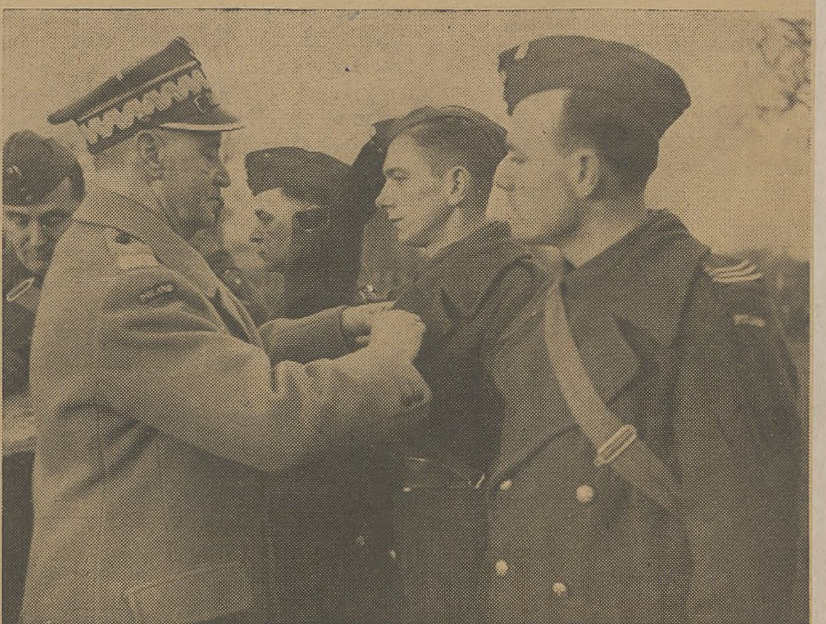
"*Myśl nasza i wzrok kieruje się ku szlakom walk I Dywizji Grenadierów na ziemi francuskiej, które pokryły mogiły naszych towarzyszów broni. Oni do Polski nie wrócą i tylko w grobie o Niej sen śnić będą.*"

Chwilą milczenia i prezentowaniem broni uczczono pamięć poległych, poczem generał w dalszym ciągu przemówienia podkreślił, iż obecne pokolenie godnie nawiązało nić tradycji bojów o wolność, a sława męstwa polskiego rozbrzmiewa nie tylko w Polsce, ale także we Francji, Norwegii i dalekim Egipcie. W takich chwilach, jak te, które przeżywamy, musimy wytężyć wszystkie siły i skupić się około Naczelnego Wodza Gen. Sikorskiego i Włodarza Rzeczypospolitej, którzy nas prowadzą do zwycięstwa.

Trzykrotny okrzyk na cześć Pana Prezydenta i Naczelnego Wodza był odpowiedzią. Pan Prezydent, Naczelny Wódz, min. Seyda, członkowie R.N. i przedstawiciel Polonii Amerykańskiej stają na trybunie, ozdobionej barwami Polski, Wielkiej Brytanii i Szkocji. Idzie defilada. Pędem przelatują motocykle, z chrzęstem przesuwają się kariery, wypełnione żołnierzem, który śmiało i po junacku patrzy w oczy Wodza. Już stalowy wąż znika na zakręcie drogi, ale Naczelny Wódz jeszcze rozmawia z dowódcami, którzy pytają, kiedy odwiedzi inne oddziały.

"Muszę wracać do Londynu. Przyjechałem tutaj niby na odpoczynek, a wolnej chwili nie miałem—mówi z uśmiechem generał Sikorski.—Ale przyjadę, napewno przyjadę."

Taką obietnicą zakończył się gwiazdkowy pobyt Naczelnego Wodza wśród polskich oddziałów w Szkocji.



Naczelny Wódz dekoruje żołnierzy I Dywizji Grenadierów

Z kampanii francuskiej

W akcji

II.*

Zadaniem naszego plutonu rozpoznawczego, jest zbadanie przez walkę siły ogniowej wroga, stanowisk jego broni maszynowej, względnie opóźnienie lub zatrzymanie go aż do chwili nadejścia znaczniejszych sił. Niebezpieczna i odpowiedzialna robota szczególnie w wojnie ruchowej. Za każdym zakrętem w każdym lasku, za węgłem każdego mijanego domu, spodziewać się musimy ostrzelania.

Nie przyznajemy się do tego, ale jesteśmy jakby stropieni. Ten trup, który nas przywitał na wstępie i fatalny dzień 13 czerwca, w którym mamy wejść do akcji, zdaje się być złą wróżbą. Wiemy już od podchor. G., że przed godziną parę kilometrów stąd polała się już krew polska. Bratni pluton rozpoznawczy mot. 10 o.s.k. będąc jak my na rozpoznaniu wjechał nie dość ostrożnie do środka osiedla, w którym wbrew wszelkim przewidywaniom znajdowali się już Niemcy i wzięty z nienacka w krzyżowy ogień c.k. mów został po krótkiej walce doszczętnie rozbity.

Jesteśmy przygotowani na najgorsze, ale nie chciało by się ginąć w pierwszej potyczce, nie wystrzeliwszy ani jednego naboju. Jedynie porucznik jest w świetnym humorze-świeżutko ogolony, pogwizdując sobie, sprawdza r.k.my, amunicję i motory. Patrząc na niego, wracamy do równowagi. Punktualni[illegible] 10-ej rano porucznik otrzym[illegible] jakieś rozkazy. Ruszamy.

Po krótkiej jeździe zatrzymujemy się w miejscowości Champaubert. Czekają już tam na nas trzy czołgi polskie dołączone do naszego plutonu.

Saperzy nasi kończą minować pola, leżące obok szosy prowadzącej na północno-wschód. Wylot szosy prowadzącej w tym kierunku z Champaubert już zabarykadowany wywróconym autobusem kilkoma wozami i workami z piaskiem. W szalonym tempie nadjeżdża auto. Przez spuszczoną szybę widzę wytworną sylwetkę dowódcy naszego dywizjonu rozpoznawczego mjr. Zg. Z majorem jedzie kapitan St. ze Sztabu Brygady. Major nie wysiada.

[illegible]szę urywek rozmowy z naszym porucznikiem. "Ma Pan zaszczytne zadanie zamknięcia szosy prowadzącej na południe, celem umożliwienia naszej brygadzie zmiany stanowisk. Musi Pan zatrzymać tutaj nieprzyjaciela co najmniej godzinę". "Rozkaz Panie Majorze. Zatrzymamy dłużej." Silny uścisk dłoni-major odjeżdża. Za nim odjeżdżają saperzy.

Kilka krótkich rozkazów porucznika i role nasze są rozdzielone. Kierowcy zostają po drugiej stronie osiedla z zapalonymi motorami skierowanymi na szosę prowadzącą do Morenil en Brie.

Pozostałych zaś 12, to jest obsługa 4 rkm plutonu, mijamy barykadę i posuwamy się około 700 m. szosą prowadzącą łagodnie pod górę. Po drodze porucznik wskazuje nam zaminowane odcinki pola i ewentualną drogę odwrotu. "Prawdopodobnie spotkamy się z naszymi kolegami motocyklistami niemieckimi— mówi z uśmiechem—" przywitajcie ich jak należy."

Kilkadziesiąt metrów za punktem szczytowym górki zajmujemy stanowiska wskazane nam przez porucznika. Przed nami jak na dłoni widoczna szosa prowadząca do lasu odległego około 500 m. Na prawo ciągną się na przestrzeni 2-3 km. łąki i pola uprawne dalej także las. Zajmuję ostatni stanowisko, nieprzyjemne miejsce na szkarpie po prawej stronie szosy. W pobliżu nie ma ani jednego drzewa, ani jednej fali gruntu — łysa, jak kolano górka.

Po prawej stronie nieco cofnięty do tyłu i niżej ustawiony jest rkm. kaprala Z. Po lewej stronie szosy najbliższym sąsiadem jest plut. J. z rkm. ustawionym na drzewie. Gdzie jest czwarty rkm. nie wiem, nie widzę go. Jestem zmęczony. Dźwiganie torby z amunicją, w której mam naładowanych 16 magazynków po 25 naboi, około 1000 sztuk luźnej amunicji, karabinu maszynowego i pełnego oporządzenia bojowego, to nielada zadanie dla pana niepierwszej już młodości.

Czas jednak nagli, szybko zabieram się z leżącym uł. P. do wykopania bodaj przedpiersia i podpórki na moją maszynę. Cholera! Twardy teren, nasze małe bojowe łopatki z trudem wbijają się w kamienisty grunt.

Nie zdążyliśmy nawet wykopać rowka, który zakrywałby ramiona, gdy klęczący obok nas porucznik, który badał przez lornetkę teren, spokojnym, jakby na manewrach głosem odezwał się: "No, chłopcy robota się zaczyna—na prawo motocykliści." Istotnie patrzę i widzę na prawo od szosy w odległości około 800 m. od nas polną drogę, wijącą się w płytkiej kotlinie i posuwający się nią wolno patrol motocyklistów. Natychmiast zmieniam pozycję rkm-u skierowanego dotychczas na szosę główną, załadowuję i pytam porucznika o celownik. Równocześnie patrzę na zegarek-godzina 10.45 "Nastawić na 400 poczekamy aż przyjadą bliżej" otrzymuję odpowiedź-rozkaz.

Analizuję własne samopoczucie-jestem spokojny, spokojny jak student, który zasiadłszy do egzaminu otrzymał już pierwsze pytanie. Kontroluję brzmienie swego głosu—spokojne-normalne-jestem zadowolony. To będzie pierwszy ogień w życiu. Oddział nieprzyjacielski zbliża się—wijąca się po nierównym terenie dróżka uniemożliwia dokładną obserwację, widzę jednak dobrze trzy pierwsze motory.

"Krótkie serie— ognia!" słyszę głos porucznika. Powoli celuję i naciskam język spustowy—sucho zagrzechotała długa salwa. Na moment przerywam, silniej wciskam kolbę w ramię i kończę magazynek drugą długą serią. W tej chwili przypominam sobie, że miałem strzelać krótkimi serjami. Patrzę z niepokojem na porucznika, oczekując nagany i równocześnie zakładam drugi magazynek. "Brawo-dobry początek!" mówi porucznik, odrywając oczy od lornetki i uśmiechając się do mnie—"dwa motocykle rozbite. Ognia!"

Równocześnie słyszę, że plut. J. rozpoczął ogień i widzę, błysk ognia z krzaków, okalających polną drogę. Na samej drodze nie ma już nikogo poza sylwetkami dwu motorów i kierowców leżących na ziemi. Zaczyna się wzajemna strzelanina, łowię uchem różnicę między naszymi maszynkami a niemieckiemi. Ostatnie zdają się mieć ton jakiś niższy i głębszy.

Porucznik ciągle uśmiechnięty z laseczką w ręku, nie pochylając nawet głowy spokojnie przechodzi na stanowisko J. Wyraźnie słyszę jego głos zmieszany z tubalnym barytonem górala. Wtem słyszę głośny okrzyk "małego" (uł. J wzrost 198 cm.) leżącego poniżej mnie w rowie przydrożnym, któremu porucznik kazał obserwować przedpole wzdłuż głównej drogi—"Cholera—tanki."

Patrzę—zadrżałem. Z lizjery lasu w rozwiniętym szyku bojowym na szerokość całej łąki wysuwają się jeden za drugim czołgi, raz . . . dwa . . . osiem . . . dziesięć — liczę trzynaście, przerzucam rkm. w ich kierunku.

Zatrzymać za wszelką cenę. Jak błyskawica przechodzi mi myśl, że jeżeli się nie zatrzymają, jesteśmy zgubieni. Zanim zdążylibyśmy dobiec pod ogniem i to w otwartym polu do barykady odległej około kilometra, Niemców mielibyśmy dawno na karku. Kolega P. nic nie mówiąc, zakłada do mego rkm. magazynek z amunicją p-panc.-Cztery nasze rkm. zioną teraz ogniem bez przerwy. Czołgi jakby zdziwione nieoczekiwanym oporem zatrzymują się i rozpoczynają także ogień. Suchy trzask ognia naszych rkm. miesza się z głośnymi seriami ckm, nieprzyjaciela i hukiem armatek czołgowych. Wyraźnie odróżnia się syk kul z broni maszynowej od metalicznego, głębokiego tonu pocisków armatek czołgowych, przelatujących koło ucha.

Od czasu do czasu przerzucam rkm. na prawo, by nie dopuścić do oskrzydlenia przez chwilowo zapomnianych motocyklistów. Patrzę z podziwem i zazdrością jak plut. J., stary wyga nie cofając się, zmienia stanowiska ogniowe swego rkm. wymacane przez wroga. W tej chwili stojąc za drzewem strzela na 20-30 m nad naszymi głowami do motocyklistów.

Przywarty do ziemi strzelam dalej, oczekując zbawczego turkotu naszych czołgów. Jadą, słychać z tyłu charakterystyczny klekot gąsienic. Odetchnąłem z ulgą. Za chwilę kilkanaście metrów na prawo mija mnie nasz czołg, znacznie dalej dwa następne. Piękny, niezapomniany w swej grozie obraz. Widzę wyraźnie pociągłą twarz kpr. Ser. i ku memu zdziwieniu przyczepionego do czołgu kpr. G. To już nie odwaga, to nie brawura, to szaleństwo. Zasłonięty tylko z przodu płytą żelazną wystawiony jest zupełnie na prawoboczny ogień motocyklistów.

Czołgi nasze ściągają na siebie cały ogień. Mamy chwilę wytchnienia. Nasze wyszczerbione łopatki wyrzucają z furią ziemię przed siebie. Ryjemy jak krety łopatką, rękami i paznogciami. Jeszcze centymeter głębiej, jeszcze dwa, to walka o życie. Przerywam robotę na chwilę, patrzę na walkę czołgów na przedpolu. Ser. przyjął na siebie ogień pięciu czołgów niemieckich, do których podjechał na odległość 100 kroków. Niemcy wycofują się na skraj lasu i ukryci między drzewami strzelają bez przerwy-jeden zostaje na polu bitwy, czarnym dymem wyraźnie znacząc swą obecność. Brawo. Rozbity.

Wtem widzę jak kpr. G, odpada bezwładnie od czołgu. Nie rozwinie się już nad nim owiany romantyzmem sztandar Legii Cudzoziemskiej dalekiego Marakesu, nie rozwinie się sztandar biało-czerwony, który tak wysoko dzierżył. "Zginął na polu chwały w bitwie pod Champaubert" padną na najbliższym święcie pułkowym słowa przy ponurym warkocie bębnów.

Śmierć zaczyna krążyć między nami. Ginie uł. K. Uł. L. schodzi ze stanowiska trafiony rekoszetem. Oglądam się, widzę jak porucznik za drzewem obcęgami motocyklowymi wyciąga mu kulę wbitą po trzonek w kość policzkową. Patrzę na przedpole. Czołgi nasze ostrzeliwując się wracają. Dalsza walka z nieprzyjacielem ukrytym mimo przygniatającej przewagi liczebnej w lesie i mającym tak wyraźny cel byłaby oczywistym szaleństwem.

Znowu zostajemy sami. Ruchome fortece niemieckie ponownie wyjeżdżają na przedpole. Na szosie ukazują się trzy samochody pancerne. Idzie do nich seria za serią z rkm. mojego i plut. J. W gorączce bitwy już nie segregujemy amunicji. Pociski zwykłe pomieszane z świetlnymi znaczą wyraźnie swą drogę, no i nasze stanowisko. Nie szkodzi-już i tak dawno jesteśmy odkryci. Najważniejsze, że bijemy celnie, dwa auta uszkodzone.

Tadeusz Prus Bugayski

*Por. pierwszy fragment pamiętników p. t. "Jedziemy na front," drukowany w poprzednim (1-ym) numerze "Polski Walczącej."

Uśmiech pod bombami

O godz. 14,00 przyjechał goniec z Brygady. Dywizjon ma przejść na południe w rejon St. Prix-Soizy i tam zorganizować obronę na małej rzeczce. Okazało się, że po akcji pod Champaubert Niemcy znowu starają się oskrzydlić nas od południowego zachodu. 20. Dywizja Piechoty francuskiej przeszła dopiero w połowie. Musimy dalej osłaniać ją od zachodu.

Rozkazy — "do wozów" — "jazda" Po drodze pośpieszne czytanie mapy. Rzeczka . . . tu skrzyżowanie dróg . . . a za tymi zabudowaniami, na tym rozwidleniu mamy się zatrzymać . . . w porządku.

Ledwie tylko stanęliśmy w nowym rejonie—bombowce niemieckie. Jeden zaczął krążyć specjalnie nisko. Coś go tutaj bardzo interesowało. Po chwili—charakterystyczny, długi świst, przechodzący w końcu w głośny szum i . . . głuchy stuk o ziemię —niewypał. Zauważyłem bardzo zmartwioną twarz Stasia i spokojną, a nawet potem już uśmiechniętą u strzelca S. Staś jeszcze przez dłuższą chwilę, kilkakrotnie poprawiał sobie hełm na głowie. Leżeliśmy dalej, oczekując następnych podarunków. Jakoś nie spadły. Ale nie daleko od nas zaczęły grzmocić całe serie. Jedna . . . druga . . . trzecia . . . musiało tam być gorąco.

Zaczęliśmy stawiać horoskopy kogo tam tak bombardują, gdy nadjechał mjr. Z. i mówi, że te wybuchy, po których co chwila unosi się słup czarnego dymu, to bombardują nasz Sztab Brygady i Baon Czołgów. Dowódca Brygady, chcąc utrzymać jak najdłużej nakazany rejon, zdecydował się wykonać przeciwuderzenie czołgami. To przeciwuderzenie ma wyjść miedzy skrzydłami 20 D.P. i 59.D.P. w lukę, którą Niemcy pchali się na południe.

Około godz. 16,00 wydano rozkazy do walki pod Montgivroux. Oddziały osiągnęły nakazane rejony. Po drodze widać było wycofujące się na południe grupy wojsk francuskich w dużej panice. Niemieckie patrole pancerne i motocyklowe wdarły się pomiędzy ugrupowania francuskie.

Nasz Szef Sztabu wysłał oficera, celem nawiązania łączności do 20.D.P. Po pewnym czasie łączność została nawiązana. Natomiast asp. G. wysłany do 59.D.P. już nie dołączył. W miejscowości, do której przybył powitał go strzał nawprost z niemieckiego działka ppanc. Obaj z kierowcą wyskoczyli z małej "Simki" do rowów. Co się dalej stało, nie wiadomo.

Tymczasem już po wysłaniu sap. G. okazało się, że sztab 59.D.P. sam przybył do Montgivroux i . . . w dobrych humorach wygrzewał się na słońcu. Zdziwienie, potem radość, że oni są— a potem . . . wiadomość, że Dywizja nie istnieje. Po walce w rejonie Montmiraill, część poszła do niewoli a część rozbiegła się. Został dosłownie sam sztab. Nowina nie bardzo wesoła.

Generał M. udał się osobiście do lasku, stanowiącego podstawę wyjściową dla Batalionu czołgów. Batalion stał rozwinięty, gotowy do natarcia.

W tym czasie zaczęły z kierunku zachodniego napływać w ogromnej panice oddziały francuskie. Wszystko pchało się do tego małego lasku. Skutek był taki, że w lesie utworzył się potężny zator ludzi, samochodów, motocykli i wszelkiego rodzaju sprzętu. W chwili, gdy z dużym trudem zaczęto to porządkować, nadleciało około 40 bombowców niemieckich i rozpoczęło bombardowanie tego lasku z lotu nurkowego.

Po pierwszych seriach las był pełen dymu i ognia. Kompletne piekło. Zapaliły się wozy z amunicją a potem z minami przeciwczołgowymi, całe serie potężnych eksplozji. Żołnierzy nie było widać dosłownie na kilka kroków. Po pół godzinie, trochę się uciszyło, bomby przestały spadać.

Straty jak na takie piekło, były nieduże. Ośmiu zabitych, kilkunastu rannych i kilkanaście wozów rozbitych lub spalonych. Rozpoczęto znoszenie rannych i udzielanie im niezbędnej pomocy.

Po 20 minutach, gdy wszyscy myśleli, że to już koniec, a część oddziałów siadała już do wozów, nadleciał nowy dywizjon bombowców i przez nowe pół godziny szły seria za serią.

Dowódca Brygady miał w czasie tego bombardowania takie zdarzenie.

Gdy rozpoczął się drugi nalot i bomby zaczęły padać dość gęsto, Generał położył się w rowie opodal swego samochodu. Wtem o kilkanaście metrów od niego, w krzakach, piekielny huk . . . słup ziemi, liści i gałęzi leci w górę. Stukilówka.

Dym . . . kurz . . . przez chwilę nic nie widać. Gdy to się rozwiało, Generał patrzy, a obok niego leży żołnierz francuski i cały trzęsie się ze strachu. Nie było widać z którego kierunku dobiegł. Popatrzyli na siebie . . . Generał się uśmiechnął . . . a wtem znowu, potężny huk, znowu gdzieś niedaleko trzasło. Francuz przywarł płasko do ziemi—jak myśmy to nazywali "wsadził uszy w piasek" i cały drży. Generał znowu spojrzał na niego. Francuz popatrzył niedowierzająco. Widać było, że nie był zadowolony z tego, że obok niego jeszcze tu ktoś leży. Jego przestraszony wzrok zdawał się mówić wyraźnie: "czy nie widzisz, że jest nas tutaj aż dwóch, to za dużo, idź stąd dalej." Po chwili podczołgał się zupełnie blisko, obrócił tylko głowę w stronę Generała i zawołał:

—"Co ty tu robisz?"

Generał, który w międzyczasie obserwował skutki dotychczasowych wybuchów odrzekł:

—"Ja jestem tutaj z moimi żołnierzami."

Francuz na to:

—"A co ty jesteś za jeden?"

Generał:

—"Ja, ja jestem generał polski" i spojrzawszy na Francuza uśmiechnął się serdecznie.

Francuz zdębiał—a po chwili chwycił za ręce Generała i potrząsając dłońmi naszego Dowódcy Brygady kilka razy głośno powtarzał:

—"o mój Generale . . . mój Generale. . . ."

Przestraszony widokiem tego co mu groziło w każdej sekundzie, bez własnego oddziału i dowódcy, zagubiony w tumulcie wycofujących się kolumn, patrzący na wszystko i na wszystkich nieufnym wzrokiem ściganego zwierzęcia—odzyskał spokój i równowagę pod wpływem uśmiechu obcego dowódcy. Twarz mu się rozpromieniła i już zupełnie spokojnie doczekał do końca bombardowania.

Gdy ucichła ta piekielna symfonia, czołgi nasze wykonały piękne przeciwuderzenie. Pancerny oddział niemiecki wycofał się, zostawiwszy jeden czołg palący się i dwa rozbite. Szwadrony dalej trzymały nakazane odcinki.

Oficer łącznikowy przywiózł meldunek, że 20.D.P. przeszła już na południe od nas, aż za bagna St. Gong. Zostaliśmy teraz sami bez sąsiadów. Z prawej i z lewej strony oddziały niemieckie.

Dowódca Brygady zadecydował przesunąć Brygadę na południe do rejonu Broussy le Grand. W zupełnym zmroku wolno podeszliśmy do tej miejscowości. Nad nami przelatywały setki samolotów niemieckich, powracających do swoich baz na północy. A daleko na południu od nas, widać było na horyzoncie czerwone łuny płonących przepraw na Aubie i Sekwanie.

Kamil Bogumił Czarnecki

Przegląd polityczny

Przed wojną, w prasie francuskiej, były bardzo modne w okresie przedświątecznym, tak zwane "*contes de Noël*"—opowieści wigilijne, o bardzo dużym podkładzie sensacji. Zwyczaj ten przejęła obecnie prasa zachodnia—od hiszpańskiej zacząwszy a na amerykańskiej skończywszy. W czasie Bożego Narodzenia w 1940 mieliśmy całą masę sensacyjnych depesz o "koncentracji wojsk niemieckich w Rumunii," o marszu przez Bułgarię na Grecję i Turcję, i wreszcie niemal półoficjalne telegramy, donoszące o "wzrastającym naprężeniu stosunków między Niemcami a Rosją."

Wierzy się zawsze w to, w co chce się wierzyć—i życzenie bywa często ojcem myśli. Stara ta prawda przychodzi na myśl, kiedy się czyta w prasie brytyjskiej korespondencje i telegramy z Moskwy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że koła polityczne na Kremlu są bardzo zaniepokojone wzrostem przewagi niemieckiej w Europie. Stalin z pewnością nie łudzi się "triumfami" polityki swego ministra spraw zagranicznych, komisarza Mołotowa. Mimo zdobyczy terytorialnych, osiągniętych nad Bałtykiem i w Rumunii—bez walki—sytuacja Rosji jest na początku 1941 roku o wiele groźniejsza, aniżeli dwa lata temu.

Ale trzeba zaznaczyć, że bliski wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej *jest bardzo mało prawdopodobny: Hitler obawia się walki na dwa fronty, a Stalin, znając słabość Sowietów, obawia się wojny w ogóle.*

Natomiast wcale nie są wykluczone *niemieckie próby całkowitego opanowania Bliskiego Wschodu.* Hitler, jakby wynikało z pewnych oświadczeń, uznał, że kompromitacja Mussoliniego jest wystarczającym stwierdzeniem, *iż bez pomocy niemieckiej faszystowska potęga Włoch równa się zeru.* Dalsze przedłużenie tego stanu rzeczy, jaki wytworzył się w Albanii i Libii—mogłoby grozić wewnętrznej spoistości dyktatury nazistowskiej. Upadek Il Duce i całego "systemu"—mógłby się odbić bardzo niemiłym dla Führera echem w Trzeciej Rzeszy. Oba totalizmy są ze sobą związane i to bardzo ściśle. Dlatego też należy się spodziewać, że będziemy mieli niemieckie próby powstrzymania zwycięskiego pochodu Greków w Albanii i przede wszystkim Anglików w Libii.

Ogromne sukcesy i greckie i brytyjskie odbiły się silnym echem we Francji. I na tym zapewne podłożu rodzą się wszystkie wiadomości już nie tylko o reakcji społeczeństwa francuskiego, *ale o co raz to bardziej naprężonych stosunkach między Hitlerem a marszałkiem Pétain.*

Początek konfliktu, którego przebieg jest zresztą niejasny—przedstawia się prosto. Niemcy były bardzo zaniepokojone obrotem spraw zarówno w Marokku, jak i w Tunisie. Polityka berlińska zmierzała do wciągnięcia Hiszpanii w wojnę, ofiarując wzamian za to generałowi Franco—dużą część Marokka. Jednocześnie Mussolini domagał się co raz silniej zajęcia Bizerty oraz przyrzeczonych mu uprzednio tuniskich podstaw operacyjnych, niesłychanie ważnych pod względem strategicznym. Kto wie, czy rząd w Vichy, bardzo słaby i pozostający pod wpływem różnych ciemnych machinacyj wewnętrzno-politycznych — nie byłby poszedł na ustępstwa. *Lecz przeciwko naruszeniu granic Marokka i Tunisu zaprotestowali niemal jednocześnie zarówno sułtan marokański jak i bej tuniski.* Obaj ci władcy muzułmańscy, których znaczenie polityczne bardzo wzrosło po smutnych wydarzeniach w czerwcu 1940 roku—*oświadczyli, że w razie zgody rządu w Vichy na jakiekolwiek ustępstwa terytorialne w Afryce na rzecz Hiszpanii lub Włoch, zwrócą się do Wielkiej Brytanii z prośbą o objęcia protektoratu i udzielenie pomocy.*

Rząd w Vichy musiał się cofnąć. Do Afryki został wysłany generał Weygand, cieszący się dużą sympatią w kołach muzułmańskich. Jednocześnie podjęto reorganizację francuskiej armii kolonialnej. Pétain zrozumiał, że posiada w swym ręku ogromny atut, *jakim jest możliwość przyłączenia się imperium w Afryce do wojny, a co za tym idzie, najzupełniejszy pogrom wojsk włoskich w Libii.* I atut ten wygrywa, nie ustępując nawet pod bardzo silnym naciskiem niemieckim. Hitler grozi okupacją całej Francji. Jednakowoż i w Berlinie zdają sobie sprawę z faktu, że taki gest nie przyniósłby żadnych korzyści, a raczej, że te korzyści stałyby w rażącej niewspółmierności z rolą, jaką mógłby odegrać Weygand i wojska francuskie w Afryce Północnej. I stąd te rozmowy między Berlinem a Vichy—utrzymywane w tonie bardzo nierównym. Raz słyszymy o "całkowitym porozumieniu," na drugi dzień wyłania się możliwość wznowienia wojny między Francją a Niemcami.

Rozwój wypadków na wybrzeżach Morza Śródziemnego jest więc dla naszej sprawy korzystny. *Lecz właśnie dlatego trzeba się liczyć ze wszystkimi możliwościami podjęcia jakiejść gigantycznej próby ataku niemieckiego na Anglię.* Nigdy nie będzie za wiele przestróg, których zresztą w tej mierze nie szczędzi swemu narodowi geniusz polityczny Churchilla. Niemcy mogą sobie połamać na skałach Devonu zęby—i jesteśmy głęboko przekonani, że to nastąpi. Ale również jest całkiem pewne, że Hitler stawiający zawsze wszystko na jedną kartę—spróbuje uderzenia w serce Wielkiej Brytanii. Jeżeli uderzenie to zawiedzie, tak, jak zawiodła wielka ofensywa powietrzna w sierpniu 1940, to losy Niemiec są przesądzone. *Ale ofensywa ta nastąpi.* I zagadnienie gotowości do walki nigdy nie było dla nas bardziej aktualne, jak teraz. *Jesteśmy w przededniu rozstrzygającego boju, którego widownią mogą być zarówno skały Szkocji, jak i pola Anglii.* Nie wolno o tym zapominać, przede wszystkim nam, żołnierzom polskim.

Możliwości rozstrzygających walk a w każdym razie prób rozstrzygnięcia będą podjęte przez Niemców również ze względu na Amerykę. Ostatnia mowa Roosevelta jest dowodem, że Stany Zjednoczone są właściwie już w wojnie z Trzecią Rzeszą. Prezydent Roosevelt, z całą słusznością napiętnował niemiecką "organizację" nowego porządku w świecie jako zwyczajną zbrodnię i wezwał swoje społeczeństwo do podjęcia wysiłków, aby udzielić największej pomocy gospodarczej Wielkiej Brytanii i to w najbardziej szerokim zakresie. Przemysł amerykański, nastawiony na produkcję wojenną—jest potęgą, której żadne totalizmy nie będą w stanie przełamać.

Czas jest sprzymierzeńcem Wielkiej Brytanii i jej sojuszników. W lipcu 1940 próba inwazji na wyspy brytyjskie była bardzo łatwa, w dwa miesiące później była trudna, dzisiaj jest bardzo trudna, a za pół roku będzie—w ogóle wykluczona. *Ale właśnie z tego powodu Führer będzie kusił los—i to, według wszelkiego prawdopodobieństwa—może już w bliskim czasie.* Naszym największym zadaniem, pokrywającym się zresztą z żywotnymi interesami naszych brytyjskich sprzymierzeńców—będzie danie wspólnemu wrogowi należytej odprawy.

Wojna obecna, jest dalszym ciągiem wojny nerwów, jest wojną psychologiczną i zwycięstwo będzie należało do tego, kto zdoła przetrzymać ostatni kwadrans, kto wytworzy w sobie ten zasób sił moralnych, jaki jest konieczny do przetrwania najcięższego okresu w życiu narodu.

Wypadnie nam jeszcze raz zdawać wielki egzamin wobec Polski i wobec świata. A wynik tego egzaminu nie może być ani przez chwilę wątpliwy.

tk

Sztychem

PYTAŁ KIEDYŚ ADOLF

Pytał kiedyś Adolf
Benisia,
gdzie też zanocować
chce dzisiaj?
Beniś na to:—Spytaj
tych z wyspy . . .
Jak se kto pościelił,
tak i śpi!

JAK TA WESZ

Coś mi chodzi wciąż po głowie—nie chcesz, chcesz—
coś mi chodzi wciąż po głowie, jak ta wesz . . .
(Porównanie nie natchnione, sam to wiem,
ale jest uzasadnione właśnie tem):
jak wesz, łazi po Krakowie Niemiec Frank,
ma na Plantach szwabskie mrowie swój Lausgang,
skradli pomnik Mickiewicza, a Wit Stwosz
do Volksdeutschów się zalicza—*il est boche*!
Pomyśl: Niemcy na Wawelu! . . .
Teraz wiesz,
skąd mi na myśl, przyjacielu, przyszła wesz.

FABRYKA OBUWIA

Nudno patrzeć, mam już póty,
jak ten temu szyje buty.
Jacyż są ci ludzie krewcy,
no—i jacy . . . jacy—szewcy!

WŁOSKI BLITZKRIEG

Miał Duce Albanię—a teraz czyja?
Co nagle—po diable i prędko mija:
z Albanii Grecy wyparli migiem—
coś było nie dobrze z włoskim Blitzkriegiem!

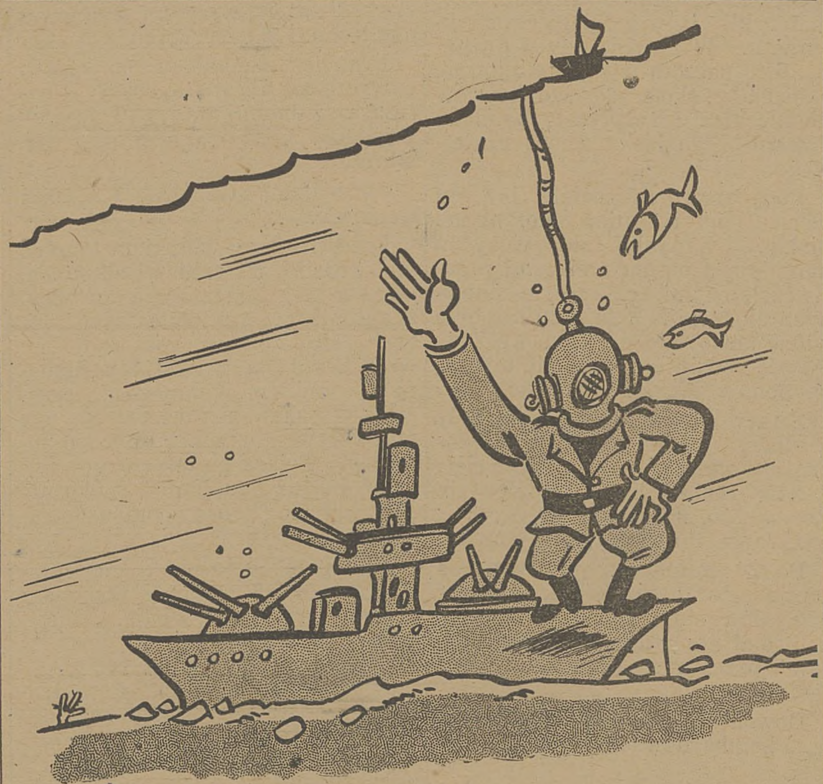
Miał Duce Etiopię—a czyja będzie?
Oj, chętnie się Włochów kraj ten pozbędzie!
Jak wilk, Benito grozi niby to,
lecz wiać już zaczyna z obwisłą kitą.

HAMLET I CHAMLET

"Być albo nie być?"—to ważkie pytanie
w "Bić się czy nie bić?"—dziś uległo zmianie,
nito z żydowska.

Trza przyznać, niestety:
nie ma Hamletów teraz, są Chamlety,
i cham ludzkości dziś włazi na szyję,
i gdy go nie bić—to on ciebie bije.

Antyk



Najnowsze zdjęcie Mussoliniego—Nurkujący wódz!

Drugi Koncert Propagandowy Świetlicy Polskiej na Brixton Hill.
WIECZÓR KOLEND I MUZYKI POLSKIEJ
Niedziela, 12 stycznia 1941 r. o godz. 2.30 po poł.
Sala Koncertowa, at St. Mary's (Church) Hall, Corner of St. Alphonsus Road, S.W.4.
Dojazd: Naprzeciwko Kościoła. Bus: 35, 37, 45, 67, 88, 118, 137. Tram: 2, 4, 6, 8, 20, 34, do Clapham Common, near the Clock. Underground: Clapham Common.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—I cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam—sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.